Nr. 9. Lwów, Niedziela dnia 28. Lutego 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina**.

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

IX.

O PODRÓŻUJĄCYCH AJENTACH KSIĘGARSKICH.

Najrozmaitszemi środkami można podnieść naród z upadku, ale jeśli te środki mają być skuteczne i wieść do celu, powinne być spokojne, systematyczne i wytrwale przeprowadzane. Środkami gwałtownemi można chwilowo zelektryzować społeczeństwo, obudzić je z letargu i zachęcić do nowego życia, ale zapewnić mu przyszłość mogą tylko środki spokojne, które w całej swej sumie nazywają się „pracą organiczną“.

Czytelnicy nasi mogli się już przekonać, że nie jesteśmy przyjaciółmi deklamacji, której misja nie od dziś skończona; na tem miejscu nie umieszczamy na pozór górnolotnych i uczonych, a w treści płaskich i jałowych artykułów, ale w każdym numerze usiłujemy poruszyć nowy projekt, który urzeczywistniony, stałby się dla kraju prawdziwie pożytecznym.

Nie drapując się w togę doktorską, nie rozpłyniemy się i dziś w teoretycznych frazesach, ale rzucimy nową myśl, nowe ziarno, które troskliwie pielęgnowane musi zbawienne wydać owoce.

Niejednokrotnie poruszaliśmy już kwestję oświaty, której potrzebuje u nas tak dobrze klasa najniższa, jak średnia. Do przedmiotu tego jeszcze raz wracamy.

Mówiliśmy swego czasu, że popularne dzieła naukowe są dla klasy średniej niezbędne; rozwinęliśmy nawet system, w jaki tego rodzaju wydawnictwo ujęte być powinno. Zastanówmy się teraz, w jaki sposób możnaby u nas skłonić ogół do czytania dzieł, w ogóle pięknych i pożytecznych.

Polak będąc z natury leniwym, nie lubi czytać; dłuższe nawet myślenie sprawia mu widoczną przykrość, czyta on dopiero wtedy, gdy go do tego zmuszą okoliczności. Okoliczności zaś zmuszają go w większych tylko miastach. gdzie sama przyzwoitość nakazuje coś wiedzieć, aby umieć coś powiedzieć. W małych miasteczkach i po wsiach popuszcza on natomiast wodze wrodzonemu lenistwu i o kształceniu się ani myśli. Częściowy wyjątek stanowią kobiety, które przykute całe życie do domu, czytują dla zabicia choćby nudów tylko. Właściciel ziemski, ksiądz, oficjalista, rzadko wyjeżdża do większego miasta, w którem jest księgarnia, a jeżeli wybiera się nareszcie, to „ważne interesa“ tak go zajmują, że o książce ani pomyśli. Zresztą nie wie nawet jaką kupić, w domu bowiem czytując te tylko działy dzienników politycznych, które są poświęcone wiadomościom sensacyjnym, nie rzuca nawet okiem na zapiski bibliograficzne. Ponieważ z drugiej strony Polak jest przystępnym dla wszystkiego co wzniosłe i piękne, przeto jeśli energicznie i zręcznie weźmiemy się do dzieła, możemy z czasem zmienić go pod wieloma względami.

Nie kupuje on książki i nie czyta — narzućmy mu więc książkę a zacznie czytać. Do osiągnięcia tego celu przyczynią się w wielkiej bardzo mierze podróżujący ajenci księgarscy.

W Niemczech ajenci księgarscy wyrobili miljony czytelników; u nas nawet, przed laty kilkunastu, mianowicie na Wołyniu i Ukrainie, sprytni izraelici rozwożąc książki i czasopisma, przyczyniali się w wysokim stopniu do rozbudzenia życia umysłowego. Jeśli dziś za kordonem rząd rossyjski utrudnia tego rodzaju kolporterję, to dlaczegoż nie mielibyśmy jej zaprowadzić w Galicji, gdzie władze nie potrzebują obawiać się rewolucyjnych knowań? Podróżujący ajenci księgarscy wstąpią do każdego dworku i grzeczną namową skłonią do kupowania dzieł pożytecznych. Kto raz kupi, ten bądź to z ciekawości, bądź wreszcie z nudów czytać zacznie. Gdy czytać zaczniemy, rozjaśni nam się w głowach, a rezultat będzie ten, że każdy krok nasz w życiu publicznem będzie nacechowany większym rozumem i większą praktycznością.

W ostatnich czasach ruch księgarski, szczególnie we Lwowie, przybrał większe rozmiary. Spożytkować siły w nowym kierunku i przyczynić się do podniesienia nietylko literatury, ale i duchowego poziomu w kraju, oto zadanie, które młodzi nasi księgarze spełnić powinni.

Zaprowadzenie podróżujących ajentów księgarskich jest tedy sprawą piekącą, którą jak najprędzej należy urzeczywistnić.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Przed wystawą jubilerską zatrzymały się wieczorem dwie dziewczyny wracające z magazynu do domu, i przypatrywały się kosztownościom, które przy rzęsistem oświetleniu płomieni gazowych ponętnie przedstawiały się oczom. Szczególnie jedna z nich zdradzała żywe zajęcie w oglądaniu klejnotów, a czarne, duże jej oczy z ciekawością i upodobaniem zatrzymywały się na niektórych przedmiotach. Twarz jej drobna, blada, ostrych rysów, była w tej chwili mocno ożywioną. Twarz ta miała profil delikatny, nosek kształtny a usta wąskie, i znać w niej było sprytne, żywe i energiczne usposobienie. Blond włosy przechodzące w mocno złoty kolor stanowiły dziwny kontrast z czarnemi oczami i dwoma łukami czarnych brwi. Ten kontrast stanowił jej urok i zwracał uwagę.

— Patrz, moja droga — odezwała się złotowłosa do swej towarzyszki gniotąc mimowiednie jej dłoń w swych rękach — jaka śliczna bransoleta. I te kolczyki i brosza należą zapewne także do niej, bo ta sama w nich robota. To cały garnitur. Ach, jak ucieszy się ta, co go dostanie!

Oczy mówiącej zaiskrzyły się na tę myśl tak, że wydawały się przez chwilę jak dwa czarne zwierciadła, w których odbiły się blaski wszystkich dyjamentów jubilerskiej wystawy.

— Dlaczego ma koniecznie dostać? może go kupić, — rzekła jej towarzyszka,

brunetka z łagodnem spojrzeniem, a rumiana, okrągła jej twarzyczka zarumieniła się jeszcze więcej przy tych słowach, w ktorych czuć było delikatną naganę.

— Kupić? Ach jakaś ty zabawna Tekluniu! — rzekła i rozśmiała się, pokazując w uśmiechu białe, drobne ząbki. — Może jeszcze za własne pieniądze!

— Dlaczegoż nie, jeżeliby miała w takich błyskotkach upodobanie?

— Którażby nie miała? Ale byłaby to już kobieta pożałowania godna, która musiałaby sama sobie zaspokajać takie upodobania. Od czegóż są mężczyźni? kobiecie dość jest objawić swoje upodobanie, aby miała to, czego chce.

W tej chwili jakiś młody człowiek elegancko ubrany, przechodząc ulicą zatrzymał się także przed wystawą. Pod pozorem lepszego przypatrzenia się klejnotom, przyprzysunął się tuż do dziewcząt i zamiast na wystawę, szucił śmiałe i badawcze spojrzenie pod czarny kapelusik złotowłosej magazynierki. Ta impertynencka śmiałość widocznie ją obraziła. Odsunęła się od młodego człowieka i surowym wzrokiem zmierzyła go od stóp do głowy, a łuki jej czarnych brwi złamały się i zbiegły ku sobie, tworząc zmarszczkę gniewną nad noskiem. Taka czupurna postawa uniemożebniła dalsze zbliżenie się, do czego wyraźną miał ochotę młody człowiek i odjęła mu odwagę. Postał jeszcze czas jakiś, poprawił na nosie szkiełka w złotą ujęte oprawę, obrzucił machinalnie spojrzeniem wystawę i poszedł dalej. W pewnej jednak odległości zatrzymał się, przeszedł na drugą stronę ulicy i ztamtąd obserwował dziewczyny.

— Chodźmy już, Maryniu, już późno— odezwała się rumiana brunetka, ciągnąc towarzyszkę i obejrzała się niespokojna w około.

— Zaczekaj, jeszcze chwilkę, jeszcze się tym naszyjnikom przypatrzę.

— I co ci z tego przyjdzie?

— Takie patrzenie, moja kochana, wyrabia gust i znawstwo. Gdyby mi wypadło kiedy wybierać, nie byłabym w kłopocie i wiedziałabym co wybrać.

— Czy myślisz, że będziesz kiedy w tem położeniu?

— Czemuż nie? Żadna z nas nie wie, co ją czeka. A Herminka? któżby się był spodziewał, że będzie pułkownikową, że będzie miał swój powóz, służbę. A była tylko prostą szwaczką. Każdą z nas może podobny los spotkać.

— O! ja nie chciałabym takiego losu. Mówią, że na nią krzywo patrzą w domach, w których bywa.

— Bo nie umie sobie nadać tonu. O! ja bym umiała. Czuję w sobie zdolność na wielką panią.

— Bredzisz moja droga. Chodźmy lepiej do domu, już późno. Ojciec mój będzie się gniewał na mnie.

Obejrzała się znowu trwożnie w około po pustej ulicy i spostrzegła owego młodego człowieka obserwującego je bacznie; pociągnęła więc za suknię ukradkiem swą towarzyszkę i szepnęła:

— Chodźmy, jakiś pan nas obserwuje z tamtej strony ulicy.

— Nie oglądaj się, to ten sam, który tu przy nas stał przed chwilą.

— Co sobie pomyśli o nas, chodźmy już, ja się boję.

— Dziecinna jesteś, przecież nas nie zje. No chodźmy, podaj mi rękę. — I podawszy ramię drżącej i strwożonej towarzyszce poszła z nią dalej. Młody człowiek jak cień postępował za niemi w pewnej odległości. Gdy skręciły w boczną ulicę przysunął się bliżej, tak, że ledwie parę kroków przedzielały go od dziewcząt. Teklunia zaniepokojona tą śmiałością nieznajomego, chciała przyspieszyć kroku, ale towarzyszka przytrzymała jej zapęd i postępowała dalej krokiem pewnym, jednostajnym.

Tak doszły do małego, piętrowego domku, stojącego przy plantacjach. Gdy już miały wstępować na kamienne schodki prowadzące do wąskiej sionki, Marynia zatrzymała się i zwracając się do swej towarzyszki odezwała się głosem dosyć podniesionym i z wyraźnym zamiarem aby mogła być słyszaną przez idącego za niemi mężczyznę.

— Czy nie masz co drobnych pieniędzy?

— Na co tobie pieniędzy teraz? — spytała Teklunia niezadowolona z tego zatrzymania się.

— Chciałabym zapłacić za drogę temu panu, który fatygował się odprowadzić nas.

— Maryniu co ty robisz? — odezwała się cicho Teklunia. — Daj pokoj, chodźmy już.

— Szkoda tylko, że się nie postarano o latarkę. Kto się trudni odprowadzaniem, powinien zaopatrzyć się w nią koniecznie.

Tekluni za wiele już było tej śmiałości Maryni, wyciągnęła gwałtem rękę swoją z pod jej ramienia i wbiegła szybko do sieni. Marynia była zmuszoną wejść także.

— Czekaj, gdzie tak biegniesz?

— Ach Maryniu, jak można było mówić coś podobnego.

— Trzeba mu było dać nauczkę. Drugi raz nie będzie tak skory do odprowadzania.

— A gdyby ci był co powiedział?

— Umiałabym mu pewnie odpowiedzieć.

— Ach, ja bym nigdy nie odważyła się na coś podobnego.

— Ty byś potrzebowała zaraz opiekuna, obrońcy.

— Nie, ale bym się nie narażała, nie dała powodu do tego. Gdybyśmy nie były stały tak długo przed wystawą, ten pan nie miałby śmiałości zbliżyć się tak do nas.

— Więc dla tego mam być niewolnicą i siedzieć w domu jak zakonnica? Ciekawam dla czego my nie mamy mieć takiej swobody jak mężczyźni?

— Ach pleciugo, co ty nie wygadujesz! Gdyby to mój ojciec słyszał. No, dobranoc ci, mam jeszcze w domu dużo do roboty.

— Gdzie będziesz jutro w kościele?

— Jak zwykle w naszym parafialnym kościele.

— Tam mało kto bywa. Ja pójdę do panny Marii. Wdzieję pierwszy raz moją szafirową suknię; przyjdź do nas zaraz po objedzie, zobaczysz mnie w niej. Radabym widzieć, jak ci się podobać będzie. No, dobranoc. — Rozmowę tę prowadziły na podwórku domu, do którego weszły. Marynia nucąc pod nosem jakąś wesołą śpiewkę pobiegła żywo po schodach na ganeczek zasłoniony dachem i zniknęła w małej sionce, a Teklunia weszła do mieszkania na dole, którego drzwi otoczone były kamienną futryną, mocno już przez czas zniszczoną i wyszczerbioną. Przez ciemną kuchenkę, w której mieściły się różne gospodarskie naczynia i przyrządy, było wejście do obszernej ale brudnej i dość pustej izby, gdzie stał niski warstat szewski i kilka dobrze już wysiedzianych i poczerniałych stołeczków; na warstacie paliła się łojowa, tak zwana maczana świeczka, a okrągła bańka napełniona wodą postawiona przed nią, przepuszczała i wzmacniała jej światło. Przy tem oświetleniu pracował jakiś stary, nieogolony i dość brudno ubrany człowiek, a siedzący obok niego mały chłopak z pojeżoną czupryną i zaspany naklejał obcasy i przyklepywał je od czasu do czasu młotkiem, a kot, burek, siedząc na oknie przypatrywał się zaspanemi oczami ruchom rąk pracujących i chwilami drzemał taże. Stary człowiek z zieloną umbrelką na oczach śpiewał godzinki jednostajnym, nosowym głosem, przerywając niekiedy śpiewanie energicznem napomnieniem chłopca do roboty. Był to czeladnik pracujący od lat trzydziestu u ojca Tekluni, pana Tomasza Baryłkiewicza, majstra i zarazem s t a r s z e g o szewskiego cechu. Niegdyś razem terminowali, razem się wyzwolili i razem odbyli wędrówkę wymaganą przepisami cechowemi. Walenty Kopeć, tak się nazywał ów czeladnik, więcej nawet pokazywał zdolności w kunszcie szewskim, ale jakoś pan Tomasz miał szczęście podobania się pannie Nastusi. garderobiannie starej hrabiny Henrykowej, i pozyskania sobie jej ręki wraz z wianem wynoszącem paręset guldenów i to małżeństwo pomogło mu do uzyskania dyplomu majsterskiego i otworzenia własnego warstatu. Mógłby był nawet otworzyć sklep i nazwać się fabrykantem obuwia, bo rzemiosło szło mu nie źle; ale nie mógł zdecydować się na tę i n n o w a c j ę, jak ją nazywał, pomimo wyraźnego i gorącego życzenia swej połowicy, a to głównie z powodu wstrętu do wszelkich innowacyj.

— Sklep to rzecz kupiecka — mawiał on — rzemieślnik powinien przestać na warstacie i kwita. Tak było dawniej.

I wierny dawnej tradycji trzymał się warstatu, w którym robota szła mu nie źle i zatrudniał u siebie kilku czeladników. Pomiędzy tymi był także Walenty Kopeć, który nie mogąc ani za pomocą pomyślnego małżeństwa, jak pan Tomasz, ani pracą rąk uzbierać sobie fundusiku potrzebnego na nabycie majsterstwa, poprzestać musiał na skromnem stanowisku czeladnika i doczekał się na niem starości. Wiek i wypróbowana uczciwość, jako też zdolność w robocie zjednały mu poszanowanie między czeladzią rzemieślniczą, a nawet między majstrami — i nawet pan Tomasz zaszczycał go swoją życzliwością, traktował jakby równego sobie, zasięgał nieraz jego rady i gdy po śmierci małżonki coraz muiej zajmował się domem, a coraz więcej polityką, Walenty Kopeć podczas częstej nieobecności jego zajmował się głównie warstatem i zastępował jego miejsce.

Oprócz tej czynności sprawował jeszcze urząd starszego czeladnika w czeladnej gospodzie, miał pod swoją opieką klucze od skrzynki bractwa różańca, nadzór nad ołtarzem świętych Kryspina i Kryspijana, patronów cechu szewskiego w zakrystji ojców Dominikanów, i zarazem pełnił obowiązki młodszego na kwartalnych sesjach cechu. Wszystkie te obowiązki spełniał z wielką skrupulatnością i sumiennością, a że nie wszystko szło mu tak, jakby chciał, to już nie była jego wina. Najgorzej szło mu z warstatem i nie mógł go uratować od upadku pomimo całej usilności i pracy. Pan Tomasz bowiem wierny tradycyjnej żyłce szewskiej do kieliszka i polityki, coraz częściej w miodosytni na Podbrzeziu i u Robackiego lub w handelku win Ciechanowskiego deliberował nad losami Europy, przepowiadał wojny, zakładał przymierza, a coraz mniej zajmował się robotą; pieniądze, które miały iść na kupienie materjału, szły na opędzenie kosztów dysput politycznych, na traktament panów braci, przez co robota szła nieregularnie, kundmani zrażeni niesłownością a często butnem zachowaniem się pryncypała, odstręczyli się i warstat coraz więcej upadał. I stało się, że pan Tomasz pomimo, iż jako starszy cechowy mógł trzymać większą liczbę czeladzi, niż innym wolno było, trzymał ich w ostatnich czasach tylko dwóch, tj. Walentego Kopcia i Filipa Rutkowskiego, który jednak nie zadługo miał go opuścić, gdyż odziedziczywszy po śmierci jakiegoś wuja proboszcza pewną sumkę, podał się był właśnie o majsterję. Jeden więc tylko Walenty Kopeć miał pozostać, jak niedobitek ze świetnych czasów pana Tomasza, on reprezentował cały jego warstat i stał się już prawie członkiem rodziny; przynajmniej Teklusia uważała go za takiego i dawała mu to poznać w swojem obejściu się z nim, za co też Walenty bardzo lubił pannę Teklunię, chętnym był do każdej dla niej posługi i stawał nieraz w jej obronie, gdy rozochocona miodem fantazja ojca znęcała się nad cichem dziewczęciem. Jakiekolwiekby miał kłopoty, zawsze dla panny Tekluni znalazł przyjemny uśmiech. To też za jej wejściem wyjaśniała się zachmurzona twarz jego i przerwał na chwilę robotę.

— Dobry wieczór panie Walenty — wydzwoniła miłym głosikiem Teklunia.

— Dobry wieczór, dobry wieczór pannie Tekluni — odrzekł także przyjaznie kiwając kilkakrotnie głową na powitanie

— A gdzież ojciec?

— Pan Tomasz poszedł z Filipem do Robackiego.

— Z Filipem?

— Tak, zrobił mu ten honor, boć to przecież pan Filip nie zadługo majstrem zostanie. Młodzik, bez wąsów prawie jeszcze; no i będzie majstrem, bo ma pieniądze i do tego szlachcic. Nie zadługo się zapewne ożeni, dostanie za żonę jakie pieścidełko uczciwe i dobre i będzie szczęśliwy. Prawda panno Tekluniu?

Tu podniósł głowę i spojrzał badawczo przez wierzch okularów na Teklę.

— Bardzo być może.

— Panna Teklunia wie o kim mówię?

— O kim? — spytało dziewczę z taką szczerością i prostotą, że nie można było ani na chwilę wątpić, że mówi prawdę.

— Więc panna Teklunia nie domyśla się, że Filip ma już coś napiętego?

— Zkądże mam to wiedzieć? Zresztą co mnie to obchodzić może? Nie lubię tego nudnego Filipa, który wciąż tylko mówi o swojem szlacheckiem pochodzeniu, a jest przy tem taki ograniczony i pusty.

— Ale pan Tomasz go lubi, szczyci się, że ma w swoim warstacie takiego familijanta i pewnie nie będzie od tego, żeby panny Tekluni nie wydać za niego, gdyby Filipowi przyszła ochota oświadczyć się.

— Ale ja bym go nigdy nie chciała.

— Bardzo wierzę. Kto ma do wyboru między takim nadętym pęcherzem jak Filip a panem Józefem, to nie ma się co namyślać.

Teklunia upiekła raczka na te słowa, odwróciła się w inną stronę i chcąc zmienić rozmowę zapytała Walentego o wieczerzę.

— Ho, ho, ho, wieczerza jeszcze nie prędko, jeszcze w piecu się nie pali. Maciejowa ma nowennę u Franciszkanów to nie prędko się zjawi.

— A pan Walenty może głodny?

— E, nie, panienko. Przetrąciło się co nieco po południu, lokaj od tego państwa z przeciwka poczęstował kufelkiem piwa — to mogę poczekać.

— Trzeba jednak, żeby Antek zapalił w piecu i zagrzał duszę, mam sobie i ojcu niektóre drobiazgi poprasować na jutro. A i panu Walentemu będzie pewno półkoszulek potrzebnym.

— Jeżeli łaska panny Tekluni — rzekł Kopeć ucieszony. — Jutro posiedzenie cechu u nas, to człowiek chciałby przyzwoicie wystąpić. No, Antek, wstawaj żywo, ty śpiuchu i rozpal w piecu, panienka potrzebuje duszy.

Antek, którego rozmowa czeladnika z panną majstrówną do błogiej drzemki ukołysała, podczas której głowa jego jak wahadło przechylała się na tę i na ową stronę, ocknął się na te słowa i począł machinalnie tłuc młotkiem po obcasach.

— Ależ ciemięgo masz w piecu zapalić.

Chłopak wstał i zaspany jeszcze zataczając się poszedł do kuchni, a Tekla zdjąwszy kapelusik przeszła do drugiego pokoju.

(C. d. n.)

WYBORY W AMERYCE.

Obraz zdjęty z natury

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

(Dokończenie.)

Nowo przybyły zbliżywszy się do naszego bohatera, przemówił głosem urywanym:

— Każ pan zgasić ognisko, okulbaczyć konie i ruszajmy jaknajprędzej w bok drogi, prowadzącej do St. Antonio, bo banda zapłacona przez Tomburka, ajenta elektoralnego, działającego dla pułkownika Mac-Fertan, pańskiego współzawodnika, wyjechała konno z miasta, w celu napadnięcia na pana, schwytania go i zaprowadzenia w jaką ustroń, tak, ażebyś nie mógł stawić się w dniu wyborów, a przez to zapewnił wybór ich kandydata. Widząc, że się coś nieprzyjaźnego gotowało na przyjęcie pańskie, wysłałem dziś rano posłańca z listem, abyś nie przyjeżdżał aż jutro i to późno w nocy. W kilka godzin później moi ludzie uwiadomili mnie o nowym planie przeciwników, mianowicie, że postanowili wyjechać coprędzej, stoczyć z panem w drodze bójkę, porwać go i zatrzymać na ustroniu aż do następnego dnia po wyborach, wsiadłem zatem zaraz na koń i manowcami mi znanemi, wyprzedziłem ich, aby dać panu znać o wszystkiem. Trzeba tedy jechać boczną drogą, a jutro również bocznemi drogami i to późno w nocy wjechać do miasta — będzie to już bardzo ważny krok, jeżli niepostrzeżony dostaniesz się do St. Antonio. Pułkownik Mac-Fertan, musi już być obwarowanym w jakim domku, ale jego stronnicy trzymają to w tajemnicy. Tymczasem daj mi pan jak najwięcej pieniędzy, muszę bowiem wrócić zaraz do St. Antonio, aby przez dzień jutrzejszy pomnożyć liczbę stronników pańskich... A wiele przywiozłeś pan z sobą?

— Mam 25,000 dolarów — odrzekł Don Miguel — ale zdaje mi się, że za sumę w którą cię opatrzyłem, panie Hopkau, gdyś wyjeżdżał do St. Antonio, powinieneś był zjednać nam znaczną liczbę stronników, których obowiązkiem było zasłonić mnie przed napadem.

— Zaraz panu złożę rachunek — odparł Hopkau — z 25.000 dolarów, które mi dałeś na przygotowanie wyboru... ale ruszajmy prędzej w drogę boczną, bo przeciwnicy gotowi nas tu zaraz napaść.

Po niejakim czasie, gdy już ciemna noc zupełnie ich ochraniała, pan Hopkau jadąc koło Don Miguela zaczął mu się wyliczać z otrzymanych funduszów. — Nie uwierzysz panie kandydacie, — mówił — jak ten towar, który nazywają głosami wyborców, podrożał ostatniemi czasy; udawałem się do wigów i do demokratów, wiedząc że panu zupełnie wszystko jedno, jaką opinję będziesz reprezentować w kongresie, bylebyś tylko był wybranym, lecz w obu obozach trzymają się jednakowej ceny, nie chcąc ani centa spuścić i dla tego obawiam się, czy 25.000 dolarów, które z sobą wieziesz, wystarczą na zakupienie większości głosów i zjednanie takich stronników, którzyby zechcieli czynnie popierać pański wybór. — Jednakże za 50,000 dolarów miewano dotąd zawsze zapewnione miejsce w kongresie? — odezwał się Don Miguel.

— Dawniejszemi czasy, panie, to prawda, lecz teraz przemysł przy wyborach znacznie postąpił i jeżeli dalej tak potrwa, to głosy elektorów w Stanach południowych tak będą drogo płacone, jak głosy tenorów... Podawałem zadatki lecz nie chcą się nawet ruszyć dopóki nie zostaną całkiem zaspokojeni, i na to wydałem 10.000 dolarów.

— Zostało ci więc panie Hopkau jeszcze 15.000; na cóż je obróciłeś?

— Nająłem obszerny hotel Galwestoński, gdzie stronnicy pana, przez cały czas wyborów, będą karmieni, pojeni i obsługiwani. Już on jest w części zajęty, ale wszyscy tak dobrze jedzą, piją i hulają, że z pięciu tysięcy dolarów, zaliczonych jako zadatek, mało już pewnie zostało, i zdaje mi się, że trzeba będzie dopłacić dwa razy tyle, gdy cały hotel zapełni się wyborcami.

— To wynosi 15.000 dolarów; zdaje mi się, że to już powinno być wszystko, panie Hopkau!...

— Niechaj pan kandydat będzie łaskaw uzbroić się w odrobinę cierpliwości, a wyliczę

się do grosza... Nająłem najokazalszy dom w mieście w pańskiem imieniu, na miesięcy trzy, za co zapłaciłem z góry 2.000 dolarów; niepodobieństwem było inaczej uczynić, gdyż okazałość i zamożność kandydata wpływa znacznie na opinję wyborców.

— Pocóż ten niepotrzebny wydatek?... Tych kilka dni byłbym spędził w hotelu galwestońskim, który nająłeś dla moich stronników... Zresztą, jeżeli wynajęcie okazałego domu uważałeś pan za konieczne, to można było wynająć na tydzień, ale nie na trzy miesiące...

— Przepraszam, ale może pan będziesz zmuszonym zatrzymać się dłużej, aniżeli tych kilka dni, w których się rozstrzygnie walka wyborcza...

— Jakto... dłużej... a to na co?

— Bo w jednej z potyczek, które z pewnością nastąpią, możesz pan być ranionym, nawet niebezpiecznie, a w takim razie lepiej leżeć i leczyć się w domu, jakby we własnym, aniżeli w hotelu, gdzie wieczny gwar i niepokój.

— Przyznam się, że o podobnych rzeczach nie myślałem...

— O! niech pan będzie spokojny, ja wszystko przewidując, zamówiłem najlepszego chirurga z Nowego Orleanu, którego na koszt pański już sprowadziłem do St. Antonio, i ten w najętym dla pana domu, już się rozgospodarował, przygotowując niemało szarpi, bandażów, pijawek, i balsamów, jednem słowem wszystko, co potrzeba do szybkiego opatrzenia ran lekkich lub niebezpiecznych; a to sprowadzenie i przygotowania kosztowały 2.000 dolarów. Przytem do najętego w pańskiem imieniu domu, musiałem sprowadzić z Galwestonu prawie całą aptekę i pomocnika chirurga, dla opatrywania tych ze stronników pańskich, którzy będą ciężko pokaleczeni; nadto jeszcze kupiłem 80 łóżek, które już są ustawione dla rannych. Jutro każę napisać dużemi literami na skrzydle domu, w którym te łóżka stoją: „Szpital dla stronników elekcyjnych kandydata na reprezentanta w kongresie, prześwietnego Don Miguela y Conha, y Grabos y etc..“ Będzie to pewien rodzaj grzeczności z naszej strony, która doskonały wywrze wpływ w całym okręgu St. Antonio.

— Ale co pan mówisz?... Ja raczej sądzę, że ich to odstraszy.

— Bynajmniej! Wiedzą oni dobrze, co ich czeka, ale że są honorowi, odnoszą więc z męstwem rany za pieniądze, które odbierają według ugody. Wielu z nich brało już udział w wyborach, i dlatego jedni są kulawi, drudzy bez rąk, inni ślepi, a niejednemu brakuje znowu ucha lub nosa. Tu, w St. Antonio, zwyczaj uświęcony jest jeszcze bardzo korzystnym dla kandydatów, bo raz zapłaciwszy umówioną cenę za głos, później nie potrzebują troszczyć się o nic więcej. W innych miejscowościach, pod tym tylko warunkiem następuje ugoda, że jeżeli w potyczce wyborczej który ze stronników życie utraci, kandydat, bez względu na to czy został wybrany lub nie, musi płacić umówione dożywocie wdowie i dzieciom zabitego. Pan zatem możesz nazwać się szczęśliwym, że przypadek posłużył ci kandydować właśnie tu, a nie gdzie indziej. Zliczmy więc wszystko: zadatki na kupno głosów 10 tysięcy, hotel galwestoński 5 tysięcy, najem domu na 3 miesiące 2 tysiące, sprowadzenie chirurga 2 tysiące, założenie apteki, sprowadzenie drugiego chirurga i kupno łóżek 3 tysiące; razem więc, jeżeli się nie mylę wynosi to 22 tysiące; z pozostałych trzech, złożyłem 2.000 dolarów u notarjusza na nieprzewidziane reparacje najętego w pańskiem imieniu najokazalszego w mieście domu.

— Nie rozumiem tego wydatku panie Hopkau, chciej mi go wytłumaczyć... — zapytał Don Miguel.

— Nie ma nic naturalniejszego — odpowiedział ajent spokojnie. Jak skoro dowiedzą się w mieście, żeś pan przyjechał w charakterze kandydata i stanąłeś w domu osobnym, stronnicy współzawodnika pańskiego, pułkownika Mac-Fertan, zgromadzą się tłumnie i kamieniami wybiją wszystkie szyby.

— Pozwalam i na tę swawolę — odparł poważnie kandydat, — alež w tym domu nie ma przecie 2.000 szyb, a choćby i tyle ich było, to każda nie kosztuje dolara?

— To też niezawodną jest prawie rzeczą, że na tem nie skończy się uszkodzenie budynku. Bez najmniejszej wątpliwości zawalą część muru, drzwi powysadzają i spalą, wreszcie meble pogruchocą. Na reparację zatem tych szkód, złożyłem według zwyczaju w ręce notarjusza 2.000 dolarów, a nawet między nami mówiąc, właściciel wcale niebacznie przystał na tak małą kwotę, z czego tylko my korzystamy, bo bardzo być może, że jak to często zdarza się podczas wyborów, cały dom będzie do szczętu zburzonym i niezostanie nawet kamień na kamieniu. W takim razie za nic już odpowiadać nie będziemy, bo właściciel przystał na złożoną przezemnie gwarancję w wysokości 2,000 dolarów i podpisał że się zgadza.

— Pozostało ci więc jeszcze panie Hopkau 1.000 dolarów, które musisz mieć przy sobie.

— Na ten ostatni tysiąc mam kilka rachunków w kieszeni, są to wprawdzie drobnostki, ale mimo to 1.000 dolarów kosztowały, i tak: kapelusz podbity wewnątrz miedzianą blachą 150 dolarów, koszulka druciana 450 dol.; za buty zaś z cholewami wewnątrz miedzią wybite i inne tym podobne części ubrania, zapłaciłem 400 dolarów. Trzeba bowiem ubrać się w te rzeczy, zanim będziesz pan przemawiał do wyborców. Nie jeden kamień i to znacznej wielkości, rzucą wprost na pana i do tego z niepospolitą siłą, druciana koszulka ugnie się nieco, może nawet kontuzję uczujesz, ale z męstwem, którem powinien wyróżniać się każdy kandydat, nie zaprzestaniesz swojej oracji. Ostrzegam pana również, abyś kapelusz dobrze na oczy nacisnął i głowę schylił ku ziemi, tak aby rzucane pociski odbijały się od twardego kapelusza, nie zaś od nosa lub zębów, bo byś je pewnie postradał. A broń, jaką masz pan z sobą?...

— Mam moje pistolety i strzelbę, — odrzekł przeciągle Don Miguel, myśląc zapewne o czem innem.

— To nie dosyć; major Horgart, który jest moim przyjacielem, pożyczy panu swoich pałaszy, szpad i pistoletów, bo potrzeba będzie odbyć z ośm pojedynków.

— Jakto?... i to jeszcze?

— Ależ to rzecz niezbędna! W domu najętym dla pana, zapisało się już kilku stronników pułkownika Mac-Fertan, którzy chcą rozprawić się z panem, jak skoro przyjedziesz do miasta. Znając pańską odwagę i wiedząc że niejednokrotnie dałeś dowody zręczności i szczęścia w podobnych okolicznościach, jestem pewny, że wyprawisz ze dwóch lub trzech na tamten świat, poczem inni dadzą już pewnie pokój.

— Mój panie Hopkau, — odrzekł po niejakim namyśle nasz bohater — wydałeś 25.000 dolarów na przygotowania, któreś mi tu opowiedział, potrzebaby jeszcze drugie tyle aby mieć jakie takie widoki wyboru, a w dodatku stracić oko, mieć złamane żebro, zęby wybite, nos rozcięty lub jeszcze co gorszego. Rozumiem teraz myśl mojej pełnoletniej i na jedną nóżkę utykającej piękności. Chciała mieć męża, reprezentantem w kongresie, ale jakiegoś ślepego, chromego lub równie kulawego jak ona, a to zapewne dla tego, żeby nie potrzebowała zazdrościć, co niewątpliwie musiałoby nastąpić, gdyby jej mąż był młodszy, przystojniejszy i w dodatku prostszy jak ona. Niechże więc sobie trzyma swoich 500 murzynów i czeka na takiego, który dla przypodobania się jej i dla jej posagu narazi się na utratę zdrowia lub życia. Ja z 25.000 dolarów, które mi zostały, przedsięwezmę cośkolwiek, może zostanę kupcem cykorji lub pieprzu, ale będę przynajmniej prostym, nie ślepym, nie kulawym, a jeżeli się kiedy ożenię, to z taką co mnie szczerze pokocha. A teraz, mój panie ajencie elekcyjny, wracaj wprost do St. Antonio, staraj się nawet spotkać bandę, która wyjechała w groźnych zamiarach schwytania mnie i uprowadzenia, i powiedz jej że dalsza pogoń byłaby zbyteczną, ponieważ wracam do Austin, a ztamtąd do Nowego Orleanu, zrzekając się dobrowolnie kandydatury.

Wezwawszy przyjaciół, którzy mu towarzyszyli, Don Miguel ruszył drogą do Austin, gdzie przez kilka dni bawiąc, opowiadał chętnie każdemu, jaki rachunek przedłożył mu ajent elekcyjny.

Do St. Antonio przyjechałem nazajutrz po wyborach, spodziewając się że zastanę pobojowisko, choć jeden dom zburzony, kilku rannych w szpitalach na ten cel przez kandydatów pozakładanych, lecz nadzieja srodze mnie zawiodła; po cofnięciu bowiem przez Don Miguela jego kandydatury, pułkownik Mac-Fertan został sam na placu boju, skutkiem czego nie było powodu do czynnych demonstracyj. Skończyło się więc na pijatyce wszystkich razem połączonych wyborców.

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

I.

Ktokolwiek zna dzieje sztuk plastycznych od ich pierwszego historycznego zawiązku aż do czasów obecnych, ten mimowoli musiał zwrócić uwagę na prawidłowość następstwa, w jakiem te sztuki pojawiają się w dziejach; musiał dojrzeć, że czynność artystyczna ludów zaczyna się zawsze od architektury, postępuje do rzeźby, a kończy malarstwem. Musiał spostrzedz, że architektura występuje od samego początku jako sztuka samoistna, gdy tymczasem rzeźba i malarstwo pojawiają się jako sztuki pomocnicze architektury i dopiero z czasem zyskują samoistność, a nadto malarstwo zyskuje ją najpóźniej. Bo gdy rzeźba już w starożytnej Helladzie sięga szczytu doskonałości artystycznej, jako sztuka samoistna, malarstwo dopiero w wieku piętnastym ery chrześcijańskiej obchodzi swoje najwyższe tryumfy.

Świadomość tego prawidłowego następstwa sztuk plastycznych w kolei wieków, musi wywołać pytanie: dla czego tak a nie inaczej obja-

wiała się czynność artystyczna w dziejach ludzkości? dla czego rozwój architektury poprzedzał samoistność rzeźby, a rozwój malarstwa nastąpił w dziejach najpóźniej?

Na te pytania, estetyka daje odpowiedź, że przyczyny takiego następstwa sztuk plastycznych szukać należy w duchu człowieka; pojaśnia, że wykonywanie przeważne jednej lub drugiej sztuki zależy od ogólnego duchowego kierunku czasu i ludu; od jego pojęć religijnych, społecznych i naukowych. Stanowisko człowieka wobec natury — świadomość samego siebie i odróżnienie swojego ja od całego otaczającego świata; czyli jednostka pod wpływem natury, uczucia i ducha, tworzy trzy perjody bytu, z których każdy objawia się inaczej i odmienne piętno wyciska na dziełach swego okresu; innemi głoskami zapisuje historję swej działalności, zatem i artystyczną swoją czynność, według odmiennej wykonywa modły.

Dzieło np. architektoniczne, za pomocą którego pewien naród wypowiedział swoje pojęcie, ideję, bądź religijną bądź polityczną, nie wystarczy dla tego samego narodu, nie zdoła być zupełnym, wyraźnym przedstawicielem jego idei, jeżeli np. naród ów, wyłamawszy się z pod przewagi zbiorowości dąży do usamowolnienia jednostki. Wtedy potrzeba mu innej sztuki, któraby wyraziła tę jednostkowość dobitnie i zrozumiale. Od architektury zatem, przechodzi do rzeźby, a następnie do malarstwa.

Oto w streszczeniu odpowiedź, jaką daje estetyka na nasze pytanie. Można na niej poprzestać, można jednak zapytać dalej, czy tylko w duchu leży przyczyna prawidłowego następstwa sztuk plastycznych?

Cechą estetyki, jak w ogóle filozofji spekulatywnej jest to, że wszelkie pojawy czynności ludzkiej bada jako pojawy czystego ducha, nie troszcząc się bynajmniej, że jesteśmy ludźmi z krwi i kości.

Pomimo, że odpowiedź dana na pytanie nasze przez estetykę spekulatywną, zadawala większość historyków sztuki, nazwę ją jednak jednostronną, więc niezupełną. Bo jakkolwiek sztuki plastyczne są wynikiem twórczej potęgi ducha, i w nim mają swe źródło, z drugiej strony jednak, duch ten tworzy z pomocą ciała, więc fizycznie, i przelewa swe pojęcia w przedmioty zmysłami dostrzegalne, więc znów fizyczne. Duch zatem twórczy człowieka rachować się musi z ciałem, jako narzędziem czynności artystycznej, i z materjałem, jako środkiem do przedstawienia artystycznego pewnej idei.

Chcąc zatem dojść przyczyny owego prawidłowego następstwa sztuk plastycznych, należy śledzić nie tylko samego ducha i jego postępy na drodze coraz wyższego rozwoju, ale także stronę materjalną objawów artyzmu.

Wpływ czysto fizycznych przyczyn na rozwój sztuki jest większy i donioślejszy jak dotąd przypuszczano; badanie jednak w tym kierunku zbywano kilkoma słowami i lekceważącem wzruszeniem ramion, a nad działami, tyczącemi się tego przedmiotu przechodzono do porządku dziennego; aby tylko nie naruszyć gmachu idealistycznej filozofji sztuki, jaki wznieśli estetycy niemieccy; aby nie strącić z piedestalu wielkości tych historyków, którzy poglądy swe na dzieła sztuki opierali na teorjach postawionych przez Hegla, Vischera i innych. Jednak mimo lekceważenia, jakiem darzono badanie fizycznych przyczyn rozwoju sztuk, zyskało ono prawo obywatelstwa w nauce i dziś należy do niezbędnych wiadomości każdego historyka sztuki. Co niedawno było jeszcze śmiesznością, dziś jest umiejętną prawdą; a kto sobie przypomina spór o polichromję w sztuce greckiej, ten przekonać się może, jak niedołężną bronią walczyli jej przeciwnicy z Kuglerem na czele, przeciw umiejętnym, sumiennym badaniom Quatremera de Quincy, Hittorfa i Sempera. A przecież dziś żaden z historyków nie wątpi, że polichromja była nieodłączną właściwością sztuki greckiej i jak najrozleglejsze miała zastosowanie.

Że prawidłowe następstwo sztuk plastycznych, spowodowane jest obok duchowych, także materjalnemi przyczynami, przyzna każdy, kto ma jakie takie pojęcie o technicznej stronie sztuk plastycznych.

Posłużmy się przykładem.

Architektura występuje najpierw jako sztuka samoistna, z powodu, że jest najbliższą codziennej potrzebie człowieka i najmniej wymaga wiadomości w pierwszym okresie swego bytu. Znajomość praktyczna punktu ciężkości i poznanie praktyczne wytrzymałości materjału — oto dwie wiadomości, które wywołują architekturę grót podziemnych w Indjach i olbrzymich piramid w Egipcie.

Egipcjanie nie dlatego budują piramidy o kwadratowej podstawie, aby wyrazić: „wzniesienie się ku niebu, a zarazem zbieganie się czterech żywiołów we wspólną jedność“ — jak chcą estetycy niemieccy ze szkoły Hegla, ale z tej naturalnej przyczyny, że wystawienie pomnika, któryby miał za podstawę jakąkolwiek linję w sobie skończoną — więc kolistą — a wznosił się ku jednemu wierzchołkowi, było dla Egiptu jeszcze za trudnem, a nawet, wziąwszy pod uwagę materjał, z którego stawiano piramidy — naówczas niemożebnem.

Minąłbym się z celem niniejszej rozprawy, gdybym chciał szczegółowo wyjaśniać przyczyny fizyczne następstwa sztuk plastycznych po sobie. W poprzednich ustępach dotknąłem sprawy tej o tyle, aby choć pobieżnie dać wyobrażenie, jak duch człowieka zależnym jest od przyczyn fizycznych, jak się duch i materja schodzą we wzajemnem działaniu.

Daleki jestem od tego, abym dzieła natchnień ludów, czy jednostek, tłumaczył przyczynami czysto materjalnemi; ale też nie szukam wyższych objawów ducha w dziełach, które wywołał cały szereg czysto fizycznych przyczyn.

Żaden pojaw ludzkiego ducha nie stoi w historji odosobniony. Wywołują go tysiące przyczyn połączonych razem i każą mu być znowu przyczyną innych objawów. Owe prawidłowe następstwo sztuk plastycznych po sobie, jak z jednej strony wynika z wzajemnego oddziaływania ich na siebie, tak z drugiej strony jest skutkiem działania ducha ludzkiego w zupełnie odrębnym kierunku.

Ustrój kraju wpływa na stan spółczesny i na religję; religja na zwyczaje i znów na stan społeczny. Sztuka rodzi się pod wpływem wiary, jakąkolwiek ona będzie. Pojęcie choćby niedokładne bóstwa, wywołuje obrządek, a w następstwie, prędzej lub później — architekturę. To nie paradoks; przejrzyjcie dzieje ludów, w których się pojawiają pierwsze świty cywilizacji.

Pojęcie bóstwa formułuje się w micie. Mit, ta dziecięca mowa ducha ludów, owo poetyczne uzmysłowienie niezrozumiałych zjawisk natury, wziętych za objawy bóstwa, wywołuje w następstwie uosobienie tegoż, a gdy mit ustali się, a bóstwo przyjmie tę lub ową postać, wówczas z architekturą łączy się rzeźba, a często wykształca się na samoistną przedstawicielkę mitu — jak w Grecji.

Mit rodzi poezję, a równocześnie w zakres swój przyjmuje historję, spowitą w szaty fantazji, przenośni i legendowego podania. Wówczas mit, będący dotąd poetyczną historją bogów, przeradza się w poetyczną historję ludów i bogów, a wyrazem jego jest poetyczna pieśń ludowa, która w kolei wieków staje się epopeją dziejową. W takim to okresie przeradzania się mitu i poezji powstaje Iliada, Mahabharata, Edda, Nibelungi; w pieśniach tych wypowiadają ludy ostatnie słowo wiary swojej.

Pojęcie bóstwa zrodziło architekturę; mit dał początek rzeźbie; czegoż poezja będzie matką? Domyślicie się — malarstwa. I tak jest, poezja zrodziła malarstwo.

Wystąpienie jednak samodzielne malarstwa w zupełnie inny sposób objawiło się jak wystąpienie rzeźby. Bo gdy ta ostatnia byt swój samodzielny rozpoczęła pod natychmiastowem wrażeniem mitu i postacie tegoż odtwarzała — jeśli tak rzec wolno — za świeżej pamięci, malarstwo dopiero wtenczas występowało jako sztuka samoistna, gdy poezja przeszła już najwyższy stopień swego artystycznego rozwoju, w pewnym okresie dziejowym i u pewnego ludu; gdy naród przez usta swych największych poetów wypowiedział pojęcia, jakie żyły w jego piersi — objawił w słowie najtajniejsze myśli poruszające jego wnętrzem. Że tak jest, przypatrzmy się dziejowym kartom.

Spojrzyjmy na Helladę a zaraz przekonamy się o prawdzie naszego twierdzenia. Najcelniejsi malarze jak: Polygnot, Zeuxis, Apelles, Protogenes, Pamfilos, Parrasios występują z dziełami swemi dopiero po okresie najwyższego rozwoju poezji; po Homerze, Pindarze, Eschylosie, Sofoklesie, w chwili, gdy Eurypides stawia poezję na pochyłości prowadzącej do upadku. Malarstwo powołał do życia dopiero wtenczas duch poezji, gdy pierś helleńskich wieszczów wyśpiewała najpiękniejsze i najdroższe narodowi pieśnie, i gdy lud mógł się od przyszłości spodziewać tylko śmiechu Arystofanesa komedji.

Idźmy dalej. Rafael, Vinci, Michał Anioł tworzyli duchem Dantego i Petrarki, czerpali natchnienie z poezji, która od dwóch wieków była własnością ludu; a w Tycianie i Pawle Werończyku znać wpływ Ariosta i Tassa.

Cervantes i Lopez de Vega poprzedzają Velasqueza i Murilla; współczesny Calderon o wiele mniej wpływał na nich jak jego poprzednicy.

Po Schillerze i Göthem następuje Cornelius i Kaulbach; po Mickiewiczu, Słowackim, Polu, nasi Grottger i Matejko.

Przypadkowem nie można nazwać tego wzajemnego następstwa wielkich poetów i wielkich malarzy; przyczyna leży w ścisłem duchowem i formalnem pokrewieństwie poezji z malarstwem.

Właściwością mowy, a zwłaszcza poezji jest opisowość; przymiot, który pozwala oddać za pomocą słów, nie tylko całą zewnętrzność, ale najdelikatniejsze odcienia uczuć człowieka Im wyższym jest rozwój poezji, im artystyczniejszą jej budowa a głębszą treść, tem wybitniejszą jest plastyka słowa, tem łatwiejszem jest zrozumienie pieśni i utrwalenie jej w pamięci ludu;

tem łatwiej pieśń taka pobudza fantazję jego do czynności. Fantazja ludu posiadającego własną, wykończoną artystycznie poezję, będzie przeważnie plastyczną; a jeśli zechce się objawić na polu sztuki, aby odtworzyć postacie lub czyny będące przedmiotem narodowej poezji, to wybierze tę sztukę, która przymiotami swemi najwięcej się zbliża do jego poezji, a która w każdym razie będzie sztuką plastyczną.

Czy wybierze architekturę? Nigdy, bo to sztuka symboliczna. Rzeźbę? Rzadko, bo ta ma szczupły zakres działania i często tam symboliką posługiwać się musi, gdzie lud chce ujrzeć pełne, dotykalne przedmioty, gdyż inaczej dzieło nie zadawala jego fantazji.

Jedno więc tylko pozostaje do wyboru malarstwo i to ona wybiera. Dlaczego? Bo malarstwo posiada ten sam przymiot co poezja — opisowość, a zatem jest sztuką najbliżej pokrewną. Zakres malarstwa jest nieledwie tak rozległy jak poezji; opisowość słowa napotyka odpowiednią opisowość w rysunku, barwie, cieniu, perspektywie; a fantazja żywiona poezją znajduje w malarstwie najodpowiedniejsze zaspokojenie swojej twórczości. Jedynie Hellada odtwarza postacie swej poezji z pomocą rzeźby, a to z powodu, że poezja jej jest poezją czynu i działania, nie zaś refleksji i uczuciowości; ma zatem więcej posągowego jak malarskiego żywiołu. W Eurypidesie niknie pełna posągowość poezji helleńskiej, i Juliusz Słowacki w liście do autora Irydiona, mówiąc o „pół-posągowej formie Eurypidesa tragedji,“ umiał jednem słowem określić tę delikatną różnicę poezji helleńskiej z czasów jej najwyższego rozkwitu, od poezji, która już przeszła południe swojej piękności.

Malarstwo dojrzało pod tchnieniem chrześcijanizmu, na podstawie nowych żywiołów, jakie on wniósł do życia i sztuki, przetwarzając dotychczasową formę objawów artyzmu.

Jeżeli pod uwagę weźmiemy stronę techniczną malarstwa, przekonamy się, że ono nie mogło dojrzeć wcześniej. Jest to sztuka, która wymaga najwięcej wiadomości estetycznych, gdyż musi przedstawiać przedmioty trzechwymiarowe na płaszczyźnie, zatem tajemnica tej sztuki polega na ułudzie oka; a dojście do złudnego a prawdziwego przedstawienia, wymagało kolejnego dochodzenia i studjowania, którego trwanie na wieki liczyć można.

Tak więc chrześcijanizm i jego poezja z jednej, a wykształcenie techniczne z drugiej strony zdziałały, że malarstwo stało się najukochańszą sztuką ludów nowożytnych.

Jeżeli powiedziałem, że poezja zrodziła malarstwo, to zdaniem tem nie przesądzam jeszcze wpływu innych czynników na rozwój malarstwa, a pomijając milczeniem wpływy świetnej dziejowej przeszłości, stanu społecznego i nauk, wpływy przyrody otaczającej człowieka, uczyniłem to dla tego, że już w poezji odźwierciadlają się one, a przez nią udzielają się narodowemu malarstwu. Mówiłem więc tylko o poezji jako głównym czynniku wytwarzającym malarstwo, z pominięciem innych wpływów, gdyż w ustępie tym, szło mi jedynie o wyświecenie związku duchowego i formalnego jaki istnieje między poezją a malarstwem. (C. d. n.)

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

III.

(Dokończenie.)

„Od mojego dziadka Cerusa, powiada M. Aureljusz, nauczyłem się być ludzkim i łagodnym.

Chwalebna pamięć ojca zostawiła mi pociąg do bezpretensjonalnych i zarazem męskich dusz.

Matka natchnęła mnie bojaźnią bożą, nauczyła szczodrobliwości, powstrzymywania się nietylko od złych czynów ale nawet myśli, wreszcie zamiłowania w prostocie pokarmu i w dalekim od zbytku możnych sposobie życia.

Pradziadkowi zawdzięczam, że nie musiałem chodzić do żadnej publicznej szkoły, tylko w domu pobierałem lekcje od dobrych nauczycieli, przyczem poznałem, że na takie rzeczy nigdy nie należy żałować wydatków.

Mój wychowawca upominał mnie, ażebym nie brał strony ani zielonych ani niebieskich w cyrku, ani podłużnych ani okrągłych tarcz między gladjatorami, ażebym się przyzwyczajał do wytrwałości w usiłowaniach, do przestawania na małem, ażebym się nie mięszał w cudze sprawy i przed potwarzą ucho zamykał.

Diognetus ostrzegał mnie, ażebym nie uganiał się za próżnemi rzeczami, nie wierzył w gadaninę kuglarzy i czarnoksiężników czyniących zaklęcia, wypędzających duchy itp, nie zajmował się przepiórkami*) lub innem tego rodzaju miłośnictwem, uczył mnie szczerość znosić i z filozofją się zaprzyjaźniać. Z jego rady słuchałem Bacchiusa, potem Taudasisa i Marcianusa; chłopcem będąc pisałem djalogi i nie żądałem nic więcej dla przespania się jak tapczan, zwierzęcą skórę i co wreszcie do sposobu życia greckich filozofów należy.

Od Rusticusa pochodzi we mnie to przekonanie, że powinienem pracować nad ulepszeniem i wykształceniem własnego charakteru, unikać krętej drogi sofistów, o jałowych teorjach nie pisać, z miną kaznodziei morałów nie prawić i nie grać roli pokutnika lub filantropa. Również wystrzegać się powinienem retorycznej i poetycznej przesady i deklamatorstwa, nie wchodzić do domu w ubraniu urzędowem i innych tego rodzaju rzeczy nie robić. Od niego nauczyłem się również pisać proste, niekunsztowne listy, takie jakie on sam z Sinuessy do mojej matki pisywał; życzliwie i bez urazy obchodzić się z przeciwnikami i obrazicielami skoro sami okazali skłonność wrócenia na dobrą drogę; czytać uważnie pisma, nie zadowalniać się powierzchownym sądem i nie potakiwać pośpieszale gadułom. On także poznajomił mnie z rozprawami Epikteta, których mi z własnej bibljoteki udzielał.

Od Apoloniusza przejął wolny sposób myślenia, które jednak nie wahając się jest rozważne i w najmniejszej rzeczy nic innego tylko rozum za przewodnika sobie wybiera, jak również stałość umysłu wśród najdotkliwszych cierpień, po stracie dziecka, lub w długotrwałej chorobie. Na nim jak na żywym przykładzie widziałem do jakiego stopnia można jednocześnie być pełnym zapału i roztropnym. Ujrzałem w nim jasno człowieka, który ucząc nie łatwo się zniechęcał a przytem zdatność i wprawę w wykładzie poczytywał za najmniejszy ze swoich przymiotów. On mi nakoniec pokazał, jak się zachować należy wobec tak zwanej usłużności przyjaciół, nie stając się za nią służalcem i nie spuszczając jej zarazem z uwagi.

Od Sextusa nauczyłem się być życzliwym i za jego przykładem mojemu domowi jako ojciec przewodniczyć. Jemu zawdzięczam postanowienie życia według natury, niesztuczną godność w postępowaniu, troskliwość w odgadywaniu przyjacielskich życzeń, cierpliwość względem nieświadomych i względem tych, którzy oddają się bezmyślnym majaczeniom, wreszcie umiejętność stosowania się do wszystkich. Ztąd też w obejściu z nim samym więcej było uprzedzającej serdeczności niż we wszelkiem pochlebstwie a przecież jednocześnie używał u tychże samych ludzi wielkiego poważania. On wyrobił we mnie zdolność wynajdywania i porządkowania w przekonywujący i prawidłowy sposób potrzebnych do mądrości życia zasad, poskramiania gniewu i innych namiętności, lecz zarazem łączenia z tą zupełną beznamiętnością wzruszeń najczulszej miłości, on mnie nauczył ażebym się starał o sławę bez hałasu i o wiedzę bez samochwalstwa.

Maximus przekonał mnie, że obowiązkiem człowieka jest panować nad sobą, nie dać się niczemu z prawej drogi sprowadzić, we wszelkich okolicznościach, mianowicie w chorobie zachowywać pogodny umysł, wyrobić w sobie z godności i łagodności złożony charakter i bez szemrania obowiązkowe sprawy załatwiać. O nim każdy był tego zdania, że mówi jak myśli i nic nie robi w złym celu....

Życie mojego ojca było dla mnie szkołą łagodności, ale zarazem niewzruszonego wytrwania we wszystkiem na co się raz po dojrzałym namyśle zdecydowałem. On sam nieczuły był na próżność z okazywanych pozornie honorów, przyjaciel czynności, w której był niezmordowany, chętnie słuchał cudzych projektów mających na widoku wspólne dobro, nic go nie powstrzymało od traktowania każdego według zasługi; wiedział dobrze gdzie wodze popuścić a gdzie powściągnąć należy.

Dziękuję bogom za to, że mnie otoczyli uczciwym dziadkiem, uczciwemi rodzicami, uczciwą siostrą, uczciwym nauczycielem, uczciwymi towarzyszami, krewnemi, przyjaciółmi, nawet prawie uczciwymi ludźmi a także i za to, że przeciwko nikomu nie zbłądziłem zwiedziony porywczością, chociaż do tego nosiłem w sobie usposobienie, przez które mógłbym przy zdarzonej sposobności coś podobnego popełnić.“

Do tego wyznania możnaby dołączyć inne przez jednego z największych tego wieku myślicieli zrobione, mianowicie ustęp z **Autobiografji Milla** — gdzie on szczegółowo wykłada, ile winien rozumnemu wychowaniu swego ojca (Jamesa) i do jakiego stopnia ten ostatni stworzył w nim odrębny charakter. Dalsze jednak wypisy w roli przykładów byłyby bezużyteczne, gdyż dla tych, którzy chcą i mogą być przekonani, jak sądzę, wszystko co wyżej powiedziałem lub zacytowałem, wystarcza. Ktoby zaś chciał dowodzić że świadectwa Marka Aureljusza lub Milla nie zasługują na zupełną wiarę, na to mu odpowiem, że nie widzę racji dle czegoby wyznania badanych w szpitalu warjatów lub maniaków miały mieć w tym względzie większą od głębokich myślicieli powagę.

*) Ponieważ nam tu nie idzie o kwestje filologiczno-historyczne, więc nie opatruję tekstu uwagami, chociaż on może dla czytelnika z tej strony tu i owdzie mało zrozumianym się wyda.

Tu miejsce do ostatecznego zdefinjowania faktu dziedziczności rodzinnej. Przytoczone wyżej względy i dowody upoważniają zdaniem mojem tylko do następujących wniosków:

1. Dziedziczność charakteru familijna istnieje, przechodzi wszakże na potomstwo w formie fizycznych stanów, nie mających dla moralnego życia żadnej ściśle określonej natury. Ponieważ mi nie idzie o mistykowanie czytelnika zagadkowemi frazesami więc tłumaczę zasadę tę przykładem. Jeżeli porównamy człowieka do muzycznego instrumentu, w takim razie wypadnie powiedzieć: że instrument ten posiadać będzie od początku osobny mechanizm, siłę, wartość i tym podobne wewnętrzne warunki, które decydują i ograniczają zakres jego użyteczności, ale nigdy ustrój jego nie będzie tego rodzaju, ażeby na nim tylko pewne melodje wygrać było można. Jak fortepjan może być lepszy i gorszy, słabszy w dźwięku i mocniejszy, żaden jednak wyłącznie ani do offenbachowskich kankanów, ani do mozartowskich sonat nie jest urządzony, podobnie i człowiek może w organizmie swoim odziedziczyć fizyczne ułomności, niedostatki, ale nigdy nie odziedzicza specjalnego przeznaczenia do pewnych cnót lub występków. Jeżeli więc syn zbrodniarza jest również zbrodniarzem, to ojciec mógł mu przekazać co najwyżej jakiś nieokreślony stan nerwów, zbrodni jednak nauczyło go wychowanie.

2. Z poprzedniej zasady drogą prostego wniosku wypływa inna, mianowicie: o ile dziedziczność nie pozbawia człowieka świadomości, o tyle wychowanie może ukształcić jego charakter według dowolnie przyjętego planu. To znaczy, że jeśli np. syn złodzieja nie urodzi się idjotą lub obłąkanym, wychowanie może zeń zrobić uczciwego człowieka.

3. Dziedziczność usposobień nieświadomych (chorobliwemi zwanych) leży po za kresem wychowania, które w obec niej jest bezwładne.

Do pewnego więc stopnia uznać musimy w sobie żelazną władzę fatalizmu, gdyż jeżeli go nam nie da dziedziczność, da wychowanie. Wobec tego faktu dopiero okazuje się straszna odpowiedzialność rodziców, za których grzechy dzieci istotnie pokutować muszą. Ztąd też gdyby danie życia człowiekowi, przekazanie mu całego kalectwa i zaniedbanie go w tem przyrodzonem nieszczęściu, nie było czynem bezwiednym lub nieprzewidzianym, byłoby największą zbrodnią jaką popełnić możemy. Niepoczytalność jednak w tym względzie nie uwalnia nas od tego, ażebyśmy w każdej chwili pamiętali o losie naszych naturalnych spadkobierców.

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ztamtąd poszedłem do Skrzyńskich, których zastałem przy kolacji, a u nich kilka dam, krakowskich jako: pp. Kochanowską, Ostawską, i Dembińską, żonę generała

Ile mi smakowała wieczerza, ile miałem przyjemności z odwidzenia Skrzyńskich, tyle znowu znudziły mnie te panie swemi zapytaniami, nie pojedyńczo, ale w chórach robionemi. Z tego powodu, zaraz po wieczerzy, pod pretekstem sfatygowania, wyniosłem się i wróciłem do oberży, do kolegów.

Chodziło mi o wyszukanie dwóch oficerów, pomiędzy masą próżniaków siedzących w Krakowie, których bym mógł z galarami do Igołomji posłać. Szczęście mi posłużyło, bo zastałem w hotelu Maurycego Kraińskiego, który ten rozkaz chętnie przyjął, i wziął na siebie wyszukanie drugiego jeszcze oficera dobrej woli, na którego rachować można. Rano mieliśmy się zejść w komitecie, a ztamtąd pojechać nad Wisłę, gdzie po zakupnie galarów i najęciu flisów zaraz obadwa mieli się puścić na wodę.

Pogawędziwszy jeszcze trochę z kolegami, uległem zmordowaniu i kamieniem, choć na bardzo krótko, zasnąłem, bom się rano zbudzić kazał.

Nazajutrz z Kraińskim, młodym oficerem krakusów i jakimś panem z komitetu pojechaliśmy nad Wisłę. Czekał tam już na nas zawiadomiony żyd spekulant, który galary pokazał; z panem komitetowym bardzo drogo za nie się zgodził i flisów miał natychmiast dostarczyć, czego też dotrzymał. Wyekspedjowałem tę flotę zalecając Kraińskiemu żeby kolegę swego na pierwszym zamieścił, sam zaś na ostatnim płynął galarze dla pilnowania porządku.

O 11. udałem się na Podgórze. Przybywszy do mostu, zawezwałem oficera austrjackiego, co na przeciwnym brzegu odwachem komenderował, ażeby mnie przepuścił do generała Fichtla, pokazując mu depesze, jakie do niego miałem. Oficer z pułku Fürstenwerter bardzo mi grzecznie oświadczył, że mnie przepuścić nie może, ale zawiadomi generała, o mojem przybyciu, i zaraz do niego sam poszedł.

Nie długo na siebie dał czekać generał; stojąc kwaterą w bliskości mostu, sam przyszedł z adjutantem w kwadrans, ubrany w mundur, na którym miał cywilny długi, biały, angielskim sposobem robiony surdut.

Generał Fichtel, bardzo mi dobrze był znajomy, jako pułkownik pułku Chevaux-legers'ów Hohenzollern, stojącego w Żółkwi od roku 1815.

Pokazałem mu moje depesze.

— Nie powinienbym w i e i c h i h n e n s a g (to było jego przysłowie) wziąć ich w ręce, bez poprzedniego okadzenia; ale ja w te głupstwa nie wierzę, a żaden F e d e r f u c h s (gryzipióro) nie patrzy.

Zapytałem, czy mi da paszport do Lwowa.

— Gdyby nie kordon sanitarny, żadnej bym nie robił trudności, ale z tego powodu nie mogę nikogo po za obręb kontumacji wypuścić, przed wysiedzeniem 30 dni kwarantany.

— Jakże będzie panie generale z depeszą do ks. Lobkowitza, która zwłoki nie cierpi?

—Pojmuję pana obawę, ale na to się w i e i c h i h n e n s a g poradzi. Spodziewam się że mi zawierzysz, iż natychmiast wyszlę z temi papierami i moim raportem mego adjutanta; (wskazując ręką na stojącego obok oficera piechoty, tłustego i dobrodusznego człowieka, którego łagodności i poczciwości doświadczała później niesforna młodzież naszego korpusu.) Tymczasem, jeżeli jak wiem dokładnie z raportu rotmistrza Vianiego, korpus gen. Różyckiego dziś albo jutro będzie przymuszony przekroczyć granicę, to go przyjmiemy, ale musi się poddać ostrym przepisom kwarantany.

Generał oddał wręczone mu depesze adjutantowi, kazał wygotować raport i obstalować pocztę, którą miał zaraz pojechać.

Adjutant odszedł. Generał skończywszy ze mną służbową rozmowę, przeszedł do prywatnej; ze zwykłą sobie dobrocią, cieszył się, że mnie ogląda z całemi s k o k a m i i s k r z y d ł a m i, jak to po niemiecku wyraził. Zapytał co myślę z sobą zrobić, czy zostać od razu na Podgórzu, czy wracać do korpusu? Odpowiedziałem, że obowiązkiem moim jest wrócić i zameldować gen. Różyckiemu o skutku mojej misji. Pochwalił moją gorliwość w służbie i żegnając się dodał, że jeśli mnie nieszczęście jakie nie trafi, to wkrótce spodziewa się ze mną tu zobaczyć.

Wróciłem do Krakowa z nadzieją, że już tam konie moje zastanę, na które czekać musiałem, oraz na wiadomość, gdzie się nasz korpus znajduje.

Tymczasem wynosili się więcej skompromitowani na Podgórze. Gen. Skrzynecki, ks. Czartoryscy, familja Zamojskich, Ledóchowski i wiele innych przechodzili na Podgórze, gdzie ich w domu kwarantany nad Wisłą pomieszczono.

Koni moich jeszcze nie zastałem, co mnie mocno niepokoiło. W Krakowie popłoch ogromny; co moment wysyłano i wyjeżdżano na zwiady; co moment najprzeciwniejsze i najniedorzeczniejsze przychodziły wiadomości. Cały ten dzień nie można było na miejscu usiedzieć; wszyscy latali jak oparzeni na wszystkie strony. Kto posiadał konie, miał je posiodłane lub zaprzężone, ażeby na pierwszą pogłoskę o Moskalach wynosić się na Podgórze.

Na obiedzie pod Różą spotkałem się z Vianim, któremu towarzyszył rossyjski oficer z pułku ułanów petersburskich. Nie wiedział co się z korpusem naszym dzieje, ale odradzał mi puszczać się na jego spotkanie. Po obiedzie poszliśmy do kasztelana Rulikowskiego, gdzie już zastałem Kajetana, jego syna. Kasztelan był w wielkim strachu. Chodząc ciągle z miejsca na miejsce, spotkałem się niespodziewanie z Kraińskim, zapoconym i zabłoconym okrutnie.

Opowiadał mi, że na połowie drogi do Igołomji, napadli na pierwsze galary wpław kozaki, i oficera będącego na nich wzięli w niewolę a statki jeden po drugim opanowywali; co widząc usiłował zbliżyć się do brzegu, a wyskoczywszy wraz z flisami, korzystając z zarośli brzegowych, manowcami dostał się do Krokowa. Jużeśmy się cały wieczór nie rozłączyli i oczekiwali co chwila jakich pewnych wiadomości. Hotel Męciszewskiego co raz więcej się napełniał uciekającymi pojedyńczo z zakładu Legji, formującej się w nowem mieście Korczynie; Noc nadeszła, wszyscy potem, gdzie kto mógł, pokładli się pózno. Ranek przeszedł spokojnie, byłem kilka razy u Skrzyńskich na równi z innymi zaniepokojony. Koło południa zeszliśmy się w hotelu na obiad. Przed zupą, na którą wszyscy czekali niecierpliwie, zacząłem grać w bilard. W tem wpadają z wiadomością, że Moskale idą.... Wszyscyśmy powylatywali na ulicę. W tem rozgardjaszu obróciłem palące cygaro ogniem do ust, i straszniem sobie język poparzył.

Trwożniejsi latali jak wściekli po ulicach, i alarmowali całe miasto; ani można było przyjść z nimi do słowa. Nakoniec udało mi się zatrzymać jednego z nich, Cieleckiego Antoniego, którego znałem dobrze. Otoczyliśmy go i wypytywali, trzymając konia za cugle. Dowiedzieliśmy się po długiem badaniu, że cały oddział gen. Kamińskiego, ujrzawszy kozaków, poszedł w rozsypkę w różne strony, z którego kilkudziesięciu wpadło do Krakowa; ale on na

własne oczy nie widział goniących Moskali. Na każdy sposób nie było już czego dosiadywać w Krakowie; wszyscy się porozbiegali po kwaterach, żeby się przygotować do opuszczenia miasta.

Wróciwszy do hotelu, oddałem moje efekta na brykę Józefa Żółtowskiego, która już była zaprzęgnięta i konie posiodłane; na jednym z nich miałem jechać. Wszystko to ułatwiwszy, poszliśmy zjeść obiad jeszcze i rozpłacić się z gospodarzem. Po obiedzie siedliśmy na konie i pożegnawszy Kraków w osobie Męciszewskiego puściliśmy się ku mostowi. Taki był ścisk na ulicach i wychodźców i miejscowych, że tylko noga za nogą postępować było można.

Przejeżdżając koło mieszkania Skrzyńskich, zatrzymaliśmy się trochę i pobiegłem pożegnać ich. Czułe ze łzami było ostatnie uściśnienie, bo nikt nie wiedział jaka nas przyszłość w Galicji czekać może.

Tak postępując w tłumie tej smutnej procesji stanęliśmy już dobrym zmrokiem za mostem, przed oddziałem piechoty austrjackiej, gdzie po lewej stronie byli oficerowie i komisarz cyrkularny, baron Heniger, którym każdy się meldować i nazwisko swoje i stopień podać musiał do zapisania. Za oddziałem piechoty stały huzary szpalerem po obudwóch stronach ulicy; między temi szliśmy wszyscy do otoczonego wojskiem gmachu próżnego, dawniej klasztoru, w którym niegdyś była komisja ubiorcza austrjacka.

Duży to był budynek w kwadrat zbudowany z obszernym dziedzińcem wewnątrz. Pogoda była śliczna, miesiąc w pełni przyświecał więc nie szukając kwatery po sałach pustych, zajęliśmy jeden kąt dziedzińca z Żółtowskim, jego końmi i ludźmi. Wkrótce przyłączyli się do nas Henryk Fredro, Wład. Rozwadowski i Nerynusz Hoszowski, którzy pod Bolimowem po brawszy dymisje, za paszportami rossyjskiemi przez Warszawę dostali się do Krakowa.

(C. d. n.)

Spadające Gwiazdy

(Les étoiles qui filent)

naśladowane z Béranger'a.

„Czy prawda Ojcze, że na niebie
Każdy z nas swoją gwiazdkę ma?“
„Prawda mój synu! W złej potrzebie
Wnet ją chmur czarnych kryje mgła.
Już temu skarga nic nie nada
Czyj tam zagaśnie złoty stróż!“
— „Czyja to Ojcze gwiazda spada,
Zlatuje szybko, znikła już?!“

„Synu mój! gwiazda to poety
Co szumne piosnki ludziom snuł—
Wielbił w nich wino i kobiety
Sowitem jadłem strojny stół!
Wesołym dźwiękom tłuszcza rada
Nowym jej hymnem piewco służ!...“
— „Ot znowu jedna gwiazda spada,
Zlatuje szybko, znikła już?“

„Ta gwiazda synu, strzegła z góry
Możnego pana możnych dni,
Na łożu z złota i z purpury,
O wiecznem szczęściu magnat śni!
Ni mu na myśli nędza blada,
Życie się jawi wiankiem z róż...“
— „Ot jeszcze jedna gwiazda spada,
Zlatuje szybko, znikła już?!

„Synu mój! Gwiazdy tej promienie
Nad młodej dziewy biegły skroń,
Spełnione serca jej życzenie
W dłoni lubego drzy jej dłoń!
Ostatnia znikła już zawada,
I ołtarz ślubny czeka tuż...“
— „Ot znowu jedna gwiazda spada,
Zlatuje szybko, znikła już?!“

„Spuść oczy synu! Blask ponury
Może zbyt łatwo olśnić cię!
Ten promyk smętny błyszczał z góry
Czoła wszechwładzcy, co żył źle!
Kiedy pochlebców całe stada
Z pod stopy jego miotły kurz...“
— „Ot jeszcze jedna gwiazda spada
Zlatuje szybko, znikła już?!“

„Ta gwiazda synu! Ale po co,!
Dłużej wśród górnych błądzić sfer?
Któż kiedy zliczy jedną nocą,
Ilość zagasłych marnie skier?
Idź spać mój synu! Słuchaj dziada,
I pośród życia strasznych burz,
Nie bądź li gwiazdą która spada
Zlatuje szybko, znikła już!!...“

Paryż d. 3. lutego 1875.

Naśladował
J. S. Chamiec

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział III.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli godzina czułej troskliwości i wielkiego krzątania się stanowić może zadośćuczynienie za siedm lat nieuczciwego niedbalstwa, to pani Drozdowska w istocie zasłużyła teraz na absolucję zupełną. Niepodobna opisać, jak starannie myła i czesała czarnooką dziewczynkę, jak ją karmiła mlekiem sprowadzonem ze wsi i bułkami przywiezionemi z miasta, ile pracy zadała sobie, aby przystosować do jej wzrostu garderobę, którą zawierało zawiniątko p. Skryptowiczowej. Dziecko z początku niechętnie i z trwogą, ale w milczeniu poddawało się tym operacjom; powoli zaś oswoiło się z niemi i w oczach jego widać było już tylko w pół niedowierzające, a w pół radośne zdziwienie. Była to dla małej Helenki chwila, która na wieki utkwić musiała w jej pamięci, i utkwiła. Nie widziała ona była jeszcze w życiu swojem nic, oprócz krajobrazu, powyżej opisanego, i takich ludzi, jakich w nim widzieliśmy. Ale czasem, wieczorami, „neńka,“ gdy była w dobrym humorze, zgromadzała koło siebie swoje dzieci, i opowiadała im cudowne bajki o pięknych paniach i panach, o kraśnych sukniach, wstążkach i trzewikach, o pałacach i karetach, o wonnych, nieznanych przysmakach i innych rzeczach niemniej dziwnych i zagadkowych. Ołence nie wolno było zbliżać się, ale siedziała opodal w kącie i słuchała pilnie tych powiastek, płodów wyobraźni równie ubogiej, jak ubogą była w koło cała przyroda, jak ubogiem było życie w tym smutnym zakątku. W naszych równinach dręczonych pługiem, pustoszonych siekierą, rzadko przerzynanych większemi rzekami, nie szukać poezji ludowej. Jedna smętna nuta, jakby naśladująca jęk wiatru, szukającego zapory w otwartem polu i nie znajdującego jej, to cała muzyka. Zabobonna powiastka o strachach, i mglista wieść o jakichś świetnościach i dostatkach, które gdzieś mają istnieć, ale których nikt żywy nie widział i nie doznał, to jedyny objaw twórczej imaginacji. Ołenka miała umysł żywy, którego nie zdołało przygnieść ze wszystkiem złe obchodzenie się „neńki.“ Nie raz śniły jej się „bajki,“ i kiedy dzieci „neńki“ wybiegły do niej na łąkę, opowiadała im je przekształcone według swego sposobu;—były między temi dziećmi starsze od niej, ale żadne z nich nie zdołałoby było powtórzyć opowiadania, tak jak ona nie zdołałaby była zdać sobie sprawy z tego, jak wyglądają stworzenia i przedmioty, zapełniające świat tych bajek. A teraz nagle, ta „kareta“ z dużemi, dużemi końmi, zajmująca przestrzeń większą od całego obejścia Pyłypa, męża „neńki“ — i ci dwaj ludzie, z guzikami i galonami u kaszkietów, błyszczącemi jak słońce, — i ci dwaj panowie, którym Pyłyp kłaniał się do kolan, a którzy przemawiali do niej tak łagodnie, głaskali ją po głowie i całowali w czoło, ocierając sobie chustkami oczy ukradkiem, tak, aby jeden drugiego nie widział, i ta gruba pani, która zajmowała się nią tak troskliwie i hołubiła ją, jak „neńka“ najmłodsze swoje dziecko! A potem, ta koszulka, taka biała, a taka cieniutka! I trzewiki takie świecące jak woda, a sukienka taka „kraśna“ jak kwiaty rosnące wśród zboża, a kapelusik słomiany, z taką piękną jedwabną wstążką! Zdawało się Ołence, że śni jej się „bajka“ — wszak w ósmym roku życia tak mało jeszcze jest różnicy między tem, co się dzieje we śnie, a tem, co na jawie! Nie mogła pojąć, dla czego dzieci „neńki“ postawały wszystkie w kącie, koło przypiecka, i patrzały na nią z takiem zdumieniem, nie śmiąc ruszyć się z miejsca. Jeszcze mniej mogła pojąć, dla czego, kiedy jeden z panów wziął ją za rączkę i wyprowadzał z chaty, „neńka“ poczęła zawodzić okropnie, i porwała ją w swoje uściski, nazywając ją „moja hołubońku“ i narzekając, że już jej nigdy więcej nie ujrzy. A wtenczas drugi pan ofuknął „neńkę“ bardzo ostro, i powiedział jej, że niepotrzebnie udaje żal, kiedy biła Ołenkę, i morzyła ją głodem. A potem wyjął z kieszeni garść drobnej monety, i rozdał ją dzieciom neńki, na obwarzanki. A potem obydwaj panowie wsadzili Ołenkę do karety, i wsiedli sami, wraz z ową grubą panią, i konie ruszyły z miejsca tak szybko, że świat cały zdawał się mknąć w tył na prawo i na lewo, i Ołenka widziała jeszcze tylko przez krótką chwilkę, jak Pyłyp kłaniał się nisko karecie, i jak dzieci stały pod chatą i patrzały na nią; wytrzeszczając duże, jasne, nierozumne oczy..... Dalej już wśród przyjemnego kołysania powozu, Ołenka usnęła, i śniły jej się znowu „bajki,“ wyraźniejsze już tym razem, i na przemian znowu śniło jej się, że ją bije „neńka,“ i posyła po *dit'ka*, aby ją wziął, jako swoją córkę. Po długich latach to drugie nieraz jeszcze śniło się Ołence, i zrywała się ze snu, jak teraz — ale zawsze już potem, jak teraz, był ktoś koło niej, co ją popieścił, i przemawiał do niej łagodnie, słodko, nazywając ją swojem dzieckiem.... Tyle było dobrych ludzi, którzy ją nazywali tem imieniem, a *dit'ka* między niemi nie było.

Przynajmniej Helencia, przechrzczona tak z Ołenki, nie była świadomą jego obecności. Ksiądz Stodolski atoli, i pani Podwalska, i pani Trzecieszczakiewiczowa, i wielki historyk Kryspin, i mały literat z „Przeglądu Codziennego,“ nie taili bynajmniej swojego przekonania, że czart obrał sobie stałą siedzibę w tem kółku, w które weszła Helenka. Pan Alfred Zgorzelski, ile razy zdarzała się sposobność po temu, przyłączał się do ogólnego zdania, a u OO. Jezuitów, z ambony w dni świąteczne, podały nieraz wcale nie dwu-

znaczne wskazówki, że w pewnym domu, przy pewnej ulicy, srogi Belzebub rozłożył się główną kwaterą i rozciąga ztamtąd swoje operacje wojenne na całe, bogobojne zresztą miasto. Mały literat biadał w swoich artykułach nad materjalistycznym kierunkiem, pozbawiającym świat wszelkiego idealnego uroku, i pracował nad powieścią, w której ludzie „pozytywni“ na kształt ostrych bodiaków obdzierają bliźnich z szat, ze sławy, i ze skóry, podczas gdy dwie istoty niezrozumiane błąkają się jak wonne fjołki gnane wichrem jesiennym, wśród tego chwastu, i najprzód nie rozumieją się nawzajem wcale, a potem mówią sobie rzeczy niezrozumiałe, ale obszerne, i rozumieją się doskonale, a potem umierają na ostatniej stronicy, prawdopodobnie z nudów. Wielki historyk zaś w wielkim organie wykazał jak na dłoni, że pozytywizm targa i rwie nić tradycji narodowej, przeważnie religijnej i rodzinnej, i że między innemi, jeżeli tak dalej pójdzie, to nowonarodzone dzieci nie będą miały ani ojców, ani matek, ale będą wychowywane w umyślnie na ten cel przeznaczonych zakładach publicznych, a w końcu sprzykrzy im się to i przestaną się rodzić, ziemia przestanie karmić żywe istoty, słońce przestanie świecić i nadejdzie koniec rodzaju ludzkiego i całego świata.

Nie wyprzedzajmy atoli tak dalece biegu wypadków. Około pół do pierwszej po południu, powóz pana Zameckiego wtoczył się z turkotem stłumionym dobremi resorami na bruk miejski, i mijał szybko plantacje, przeznaczone na przechadzkę publiczną. Pan Tadeusz wpatrywał się w śpiącą dziewczynkę i obejmował ją ramieniem — panią Drozdowskę wysadzono po drodze, koło jej mieszkania. Pan Skryptowicz, pomrukując pod nosem, wynurzał różne pozytywne zdania, tyczące się nadmiaru dobrego apetytu, którym był trapiony w tej chwili, i prawdopodobieństwa, że będzie musiał czekać pół godziny, nim mu podadzą rosół. Naraz podniósł rękę do kapelusza i ukłonił się grzecznie.

— Komu ty się kłaniałeś? — zapytał go p. Tadeusz.

— Zobacz sam, to cię zajmie więcej, niż gdybym ci powiedział.

Pan Tadeusz podniósł się i ujrzał na plantacjach pannę Helenę Podwalską, w towarzystwie pani Trzecieszczakiewiczowej i jej panienek. Nie on jeden w tej chwili oglądał się za nią, owszem, jakaś epidemja oglądania się zdawała się grasować na plantacjach. Ależ był i powód do tego. Nie było pod słońcem dłuższych i ciemniejszych rzęsów, ani regularniejszych rysów twarzy, ani śnieżniejszej płci, ani postaci i form bardziej pełnych, majestatycznych, a wysmukłych i kształtnych zarazem. Wenus z Milo, nawet gdyby była brunetką i gdyby miała ciemne oczy i długie rzęsy tegoż koloru, zaledwie mogłaby z nią rywalizować. Szła jak królowa, pewna swojej wyższości, a wytworna jej toaleta zabijała wszystko dokoła. Za nią szedł lokaj, niosący książkę do nabożeństwa. Nie oglądnąć się, minąwszy ją, było niepodobieństwem. Ukłon p. Skryptowicza był powodem, że i ona oglądnęła się także, poznała p. Tadeusza, i pozdrowiła go uprzejmie skinieniem głowy. Uśmiech, który towarzyszył temu ruchowi, był czarującym. Pan Tadeusz przyznał się później sam, że zagapił się do tego stopnia, iż zapomniał uchylić kapelusza. Usiadł napowrót, wielce rozmarzony.

— Dziwna rzecz — rzekł po chwili — jakie to dziecko podobne....

— Hm — mruknął p. Skryptowicz — podobniejsze teraz, niż przed dwiema godzinami. Woda, mydło i grzebień zrobiły swoje. Gdy będzie jadało częściej i lepiej, będzie jeszcze podobniejsze....

— Karolu! — zawołał p. Zamecki, prawie z jękiem. — Było w istocie coś rozdzierającego serce w tem brutalnem, ale tak prawdziwem porównaniu, które zrobił p. Skryptowicz. Plantacje i stojące przy nich kamienice nie stanowiły dekoracji szczególnie ponętnej dla oka, ale kto wracał z pustyni ozdobionej jedną wierzbą i ruderami chłopskiej chaty, temu i ten widok wydać się mógł urozmaiconym, wesołym, budzącym ochotę do życia. Cóż dopiero mówić o kontraście między tą elegancką damą, na którą zwracały się wszystkie oczy, za którą szedł lokaj — a biedną dziewczynką w brudnej, podartej koszulce, głodną i bitą, która dziś po raz pierwszy w życiu ujrzała, jak wyglądają „trzewiki,“ znane jej tylko z nazwiska, z bajek. Myśli i uwagi tego rodzaju musiały dręczyć p. Tadeusza, a p. Skryptowicz nie taił ich wcale, zwłaszcza że był głodnym i tem samem, w złym humorze. Zgrzytnął tedy zębami, zacisnął pięści, i wygłosił kilka energicznych sentencyj, które u niego w takich razach płynęły jak woda. Było tam coś o starych i młodych jędzach, i o wieszaniu rozmaitych świętobliwych ludzi, i o rózgach, i o innych rzeczach tchnących równą łagodnością i pobłażliwością.

— Karolu — powtórzył p. Zamecki — oszczędzaj mnie! Ta biedna dziecinka znajdzie teraz opiekę i miłość, bo kocham ją dla niej, i mam pewność, że i ona ją kiedyś kochać będzie. Gdy stanie się dla niej niczem to, co dzisiaj jest wszystkiem, gdy obłudne i złudne pozory przestaną być jej światem i bogiem, gdy przesyci się niemi i zapragnie czegoś rzeczywistszego i prawdziwszego, gdy zawita starość, a z nią może wyrzuty sumienia, wtenczas oddam jej to dziecię, i będzie je kochała, i mnie może dla niego. Teraz, nie łudzę się wcale co do jej usposobienia i uczuć, ale kocham się w niej, i ponieważ mogę ją posiadać, więc będę ją posiadał taką, jaka jest, a kiedyś, inną niż dzisiaj. Póki nie zajdzie ta zmiana, nie będzie wiedziała nic o tem, cośmy dziś zrobili — pomożesz mi w tem, nieprawdaż?

— Ach ty, ty, stary cyniku, materjalisto i pozytywny egoisto! Chcesz zerwać nadobny kwiatek, owiany idealnem tchnieniem poezji, dźwiękami boskich tonów i świętym duchem głębokiej wiary, ponieważ „Geldhaba stać na to!“ Nie dość ci tego; z szatańską przewrotnością obliczasz wszystko, ażeby ten kwiatek kiedyś sam przylgnął do ciebie! Zgoda, jestem gotów wziąć udział w tej twojej perfidji, bo czuję, że niezmierne pragnienie wrzącej smoły zastąpi u mnie na tamtym świecie, dzisiejsze pragnienie piwa. Masz zresztą słuszność, że kwiatek przylgnie do ciebie kiedyś, gdy zwiędnie, i gdy mu oddasz ten jego świeży pączek. Na starość człek staje się djabelnie sentymentalnym pod pewnemi względami....

Tu p. Skryptowicz pochylił się i nadając swojej zachmurzonej fizjonomji wyraz ile możności ujmujący, wysilał się na popis krasomówczy w narzeczu ruskiem, w celu uspokojenia Helenki, która się była przebudziła i z wyrazem przestrachu patrzała w prawo i w lewo na obce jej oku przedmioty.

— Precz, Mefistofilu — rzekł p. Tadeusz — masz w domu twój własny płód szatański, masz twoją prawowitą djablicę, której zawczasu sprawiasz piekło na ziemi, a przytem, mówisz po rusku jak kanonik lwowski, albo jak redaktor „Słowa“ i dziecko ciebie nie rozumie. Zostaw mi ją. — I p. Zamecki, bardziej oswojony z narzeczem ludowem, jął ze swojej strony uspokajać dziewczynkę i udało mu się to nierównie lepiej. Dziecko wkrótce uśmiechało się i zapytywało go o to i owo. P. Tadeusz skorzystał z tego, by wytłumaczyć swojej pupilce, że powinna go nazywać „tatem.“ W ten sposób, obydwaj nasi podróżni w niezłym wcale humorze przybyli do pomieszkania p. Skryptowicza, który przedstawił Helenkę żonie i dzieciom, z następującym rozkazem dziennym:

— Dacie jej lalkę, i elementarz z obrazkami. Nauczycie ją mówić i czytać. Nauczycie ją nazywać tego pana tatkiem, a nas oboje, wujem i ciotką. Wyperswadujecie jej, że „dit'ko“ nie jest jej matką, ale spowiednikiem babci Podwalskiej. Przedewszystkiem zaś, dacie jej jeść. Lewo w tył-zwrot! Odstąpić!.... A co tam za licho tak gderze w kuchni?

— Nie, to nic — odpowiedziała uspokajając p. Skryptowiczowa. — Jakie to ładne dziecko, a jakie podobne... — dodała przypatrując się Helence i całując ją.

— No, no, mniejsza o podobieństwo, wolisz nie wspominać o tem. Do kroćset... co to za hałas w kuchni, i czemu nie dają jeść?

— Nic, to nic, Karolu, zaraz będzie objad. — I p. Skryptowiczowa zwróciła się do p. Zameckiego, z uznaniem za dobry uczynek, który wypełnił, i z zapewnieniem, że jej zawsze niezmiernie żal było tego dziecka.

— Czemużeś mi nigdy nie mówiła o niem — zagadnął mężulek — jeżeli wiedziałaś o jego istnieniu?

— Ależ... z tobą tak trudno mówić...

— Trudno, trudno! Ma się rozumieć, że trudno, kiedy człowiek mdleje z głodu, a do zachodu słońca nie może doczekać się jedzenia! Cóż to jest, powtarzam, kto tam tak hałasuje w kuchni?

Pani Skryptowiczowa zapewniła raz jeszcze, że to nic, a p. Tadeusz przerwał tę maleńką scenę, niezbyt niezwykłą na widnokręgu małżeńskim państwa Skryptowiczów, wszczynając z p. Karolem rozmowę o niektórych szczegółach, tyczących się małej Helenki. P. Skryptowicz opowiedział mu, że Drozdowska swojego czasu, wziąwszy za to tysiąc pięćset zlr. zawiadomiła władzę, iż w niewiadomy sposób przyniesiono do jej pomieszkania i zostawiono tam nowonarodzone dziecię płci żeńskiej, po które nikt się nie zgłasza, i które przeto oczywiście jest dzieckiem podrzuconem. Gdy władza zarządziła dochodzenia i nie doszła niczego, p. Drozdowska podjęła się wspaniałomyślnie i bezinteresownie wychowania dziecka, na co gmina chętnie przystała. Ochrzczono dziecię i dano mu na imię Helena, z tą uwagą w księdze metrycznej, iż rodzice są nieznani — poczem powierzono je troskliwości pani Pyłypychy. P. Karol podjął się poczynić odpowiednie kroki, ażeby opiekę przeniesiono urzędownie na niego, i ażeby uzupełniono imię Helenki jakiem nazwiskiem, co do wyboru którego wszczęła się dyskusja. Nazwisko jakiekolwiek było pożądanem, ponieważ p. Zamecki chciał natychmiast zrobić zapis na rzecz małej dziewczynki. Tymczasem atoli, objadu nie podawano, a wrzawa w kuchni stawała się w istocie piekielną, pomimo, że p. Karolowa udawała się tam parę razy, widocznie w celach pacyfikacyjnych. P. Karol począł piorunować ze swojej strony, i jego żona widziała się

zniewoloną wyznać, że kucharka jej, pani Małgorzata, jest dzisiaj właśnie w „złym sosie.“ Z dalszego śledztwa pokazało się, że pani Małgorzata spowiada się co drugi dzień u O. Piekiełki, Zgromadzenia Jezusowego, i że O. Piekiełko wypytawszy ją o zwyczaje i obyczaje domu, w którym służy, dowiedział się ze zgrozą, iż p. Skryptowicz nawet w piątki i soboty zwykł jadać wołowinę, a p. Skryptowiczowa tylko raz na dzień pozwala pani Małgorzacie przepędzić godzinkę w domu bożym. O. Piekiełko wystrofował surowo panią Małgorzatę za udział w tem zgorszeniu, w skutek czego cnotliwa ta niewiasta poczęła, dla zbawienia duszy p. Skryptowicza, kupować dla niego codzień o pół funta mięsa mniej, nie zwracając atoli p. Skryptowiczowej wynikającej ztąd nadwyżki budżetu kuchennego, albowiem jedynie ujma zrobiona ciału zdolną jest zapewnić duszy zbawienie wieczne. Po dłuższym przeciągu czasu, p. Skryptowiczowa, niezmiernie cierpliwa i nieśmiała osoba, zainterpelowała jednakowoż panią Małgorzatę co do tej, zdaniem jej, nieprawnej tantiemy — to zaś wywołało burzę, trwającą już od trzech dni, ale p. Skryptowicz nie słyszał jej początku, zważywszy, iż trapiony zgryzotami bezbożnego sumienia, spał jak kamień przez większą część tego czasu. Dziś wzburzone żywioły rozszalały się z szczególną wściekłością, i pani Małgorzata, oświadczywszy, iż nie zniesie, aby pod jej okiem znieważano przykazania kościelne, wyrzuciła na podwórze wszystkie garnki i rynki zawierające potrawy mięsne, i mimo usilnych próśb nie dała się nakłonić, by dla powetowania tego nieco porywczego postępku, poszła kupić inne mięso. Groziła nawet, że gdyby kupiono takowe bez jej przyczynienia się, wyrzuci je znowu. P. Skryptowiczowa pobiegła sama do jatek, przyniosła mięso, przyrządziła je, i postawiła pokojówkę na straży przy garnkach i rynkach, a gdy ta mimo całej waleczności nie mogła oprzeć się pani Małgorzacie, więc za pomocą miedzi Lucypera przekupiono stróża i stróżowę, i zjednano sobie ich przymierze zaczepno-odporne przeciw bohaterce wiary, która wobec tak przemagających sił walczyła już tylko bronią swojej wymowy przeciw bramom piekielnym. Była atoli nadzieja, że skoro zadzwonią na nieszpory, pani Małgorzata opuści dobrowolnie plac boju i pójdzie modlić się o nawrócenie grzeszników. P. Zamecki kładł się od śmiechu, słysząc tę relację i widząc zdumioną, bezradną minę p. Karola. Belzebub zaatakowanym był we własnej swojej cytadeli i stracił kontenans ze wszystkiem. Po chwili atoli przyszedł do siebie, napisał kartkę, zawołał stróża i posłał go na policję — sam zaś uzbroiwszy się w wielki cybuch, za pomocą którego czart zwykł owiewać się dymem piekielnego kadzidła, otworzył drzwi do kuchni prowadzące. Nader łagodnym głosem doniósł pani Małgorzacie, że przyszedł O. Piekiełko, i chce z nią pomówić. Pan ostrzega atoli wiernych swoich i obdarza ich wzrokiem bystrym, by nie wpadli w sidła szatańskie. I pani Małgorzacie danem było, dojrzeć przez drzwi koniec cybucha, który p. Karol ukrywał za sobą — zamiast więc wejść do pokoju, natchniona jasnowidzeniem, udała się przeciwnemi drzwiami z wielkim pospiechem na podwórze, zkąd później straż policyjna zabrała ją z sobą, ażeby jej dać skosztować słodyczy męczeństwa za wiarę w kordygardzie. Jest to bowiem od dłuższego czasu opłakanym, ale prawdziwym niestety faktem, że w niektórych państwach europejskich władza świecka zamiast być ramieniem i mieczem władzy duchownej, zamiast zniewalać poddanych, by w ten sposób albo też w ów, pełnili obowiązki religijne, zabrania raczej pobożnym sługom, jakoteż radzcom zawiadowczym i dyrektorom towarzystw akcyjnych, pobierania tantiem koszykowych, założycielskich itp. Gdzieniegdzie jeszcze tylko utrzymywane są, albo zaprowadzane przez *brachium saeculare* przepisy, według których wolno ludom dostawać się do nieba.

P. Skryptowicz dostał atoli objad, dzięki temu nadużyciu bezwyznaniowej polityki, i sporządziwszy jeszcze, jakoteż wyprawiwszy pisma do władz, tyczące się Helenki, udał się w stan dobrze zasłużonego spoczynku, jak to jeszcze wczoraj był przepowiedział. P. Zamecki rozmawiał jeszcze czas jakiś z p. Karolową, i otrzymał z jej ust zapewnienie, że Helence nie braknie na niczem, i że nadto, dom pp. Skryptowiczów nie ma najmniejszej komunikacji z domem p. Podwalskiej, mimo bliskiego pokrewieństwa tej ostatniej z p. Karolem. Załatwiwszy tedy połowę interesu, który go sprowadził do miasta, p. Tadeusz przystąpił do wykonania drugiej części. (C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

„Kraj był pusty i martwy. Wszędzie widzieliśmy ogromne lodowce, zalegające pochyłości gór utworu dolerytowego, jużto wznoszących się stożkowato, jużto ściętych w kształt płaskowyżyn. Wszystko dokoła nas szkliło się białością i słupy bazaltowe, ustawione symetrycznemi szeregami, wyglądały jakby zcukrzałe. Nadzwyczajna wilgoć powietrza była przyczyną, że bardzo często myliliśmy się w ocenianiu odległości, do czego przyczyniało się i to, że dni zupełnie jasne były rzadkie. Niska temperatura, dochodząca do maximum — 40° R. jaką mieliśmy w ciągu tej podróży, wymagała największej ostrożności i dokuczała nam szczególnie podczas noclegów. Odzież nasza, całkiem zmarznięta, zesztywniała, jak gdyby była z blachy zrobioną, a mocny arak zdawał się tracić zupełnie tęgość i płynność. D. 16 marca powróciliśmy na okręt, aby się przygotować do drugiej, dłuższej wyprawy w północną część kraju“.

Payer trafił na najsmutniejszą właśnie na statku chwilę. Maszynista Krisch dogorywał w ciężkiej walce ze śmiercią i około wieczora tegoż dnia zakończył życie. Wyłom, zrządzony w szczupłem gronie podróżników stratą towarzysza, głębokie na wszystkich zrobił wrażenie, chociaż na to już od kilku tygodni byli przygotowani. We dwa dni potem oddali koledzy ostatnią posługę zmarłemu. Prostą trumnę spuszczono ze statku na sanie i wśród zawiei śnieżnej odprowadzili zwłoki wszyscy członkowie wyprawy do grobu, wykutego na lądzie pomiędzy dwoma słupami bazaltowemi. Krzyż drewniany z napisem wyrytym na mosiężnej tablicy, sterczący nad samotną mogiłą tego pierwszego obywatela kraju Franciszka Józefa, stoi jakoby na straży tych pustynnych krain, które zdobyła nauce odwaga i poświęcenie podróżników austrjackich.

Dnia 24. marca wybrał się Payer na drugą wyprawę, mając zamiar powrócić na statek dopiero za miesiąc. Towarzyszyli mu porucznik Orel, obaj Tyrole i trzej majtkowie. Ładunek, wynoszący 16 cent., musieli w znacznej części sami ciągnąć, gdyż mieli wszystkiego tylko trzy psy ze sobą, inne bowiem albo już nie żyły, albo były niezdatne do pracy.

„Wbrew naszym oczekiwaniom — pisze dalej Payer — temperatura podniosła się tylko do — 26° R. a zawieje śnieżne, wilgoć, otwieranie się szpar w lodzie i wydobywanie się niemi wody, utrudniały nam drogę w najwyższym stopniu. O ile wnosić możemy z tego cośmy widzieli, równa się kraj Franciszka Józefa co do rozległości archipelagowi Spitzbergen i składa się z kilku większych obszarów, z których wschodni nazwaliśmy krajem Wilczka, zachodni krajem Zichy, a środkowy krajem cesarzewicza Rudolfa. Oba skrajne obszary mają mnóstwo fiordów, i otoczone są wielu wyspami. Rozległa cieśnina, sund Austrji, rozdziela je, i zwracając się od przylądka Hansy ku północy, rozlewa się pod 80° poniżej kraju cesarzewicza Rudolfa w szeroką odnogę. Uścielone w poziomych warstwach skały dolerytowe, zjeżone stożkowatemi górami, przypominają budowę geologiczną Grenlandji i nadają właściwy całemu temu krajowi charakter. Średnia wysokość gór wynosi 2—300′ a tylko w stronie południowo-zachodniej są góry, mające do 5000′ wysokości. Rozległe pomiędzy łańcuchami gór doliny okryte są lodowcami olbrzymich rozmiarów, jakie spotyka się tylko w świecie arktycznym. Brzegi ich zamknięte są zwykle stokami, mającemi 100—200′ wysokości. W kraju Wilczka widzieliśmy lodowiec nieustępujący ogromem lodowcowi Humboldta nad kanałem Kennedy. Nazwaliśmy go lodowcem Dowego. Szata roślinna jest tutaj jeszcze niklejsza, niż w Grenlandji, na Spitzbergen i Nowej ziemi. Jestto może pod tym względem najuboższy na ziemi zakąt. Spotykaliśmy wszędzie drzewo prądami zniesione, nie było go jednak nigdzie tak wiele, jak po wybrzeżach innych krajów arktycznych i pochodziło po największej części z dawniejszych czasów. Nie znaleźliśmy nigdzie śladu mieszkańców i na południowych wybrzeżach nie widzieliśmy żadnych innych istot żyjących, oprócz niedźwiedzi polarnych. Pomimo pustynności i martwoty są tu jednak okolice nadzwyczajnie piękne i malownicze.

Żeby się łatwiej zorjentować i objąć okiem rozleglejszy obszar, jak również żeby być w możności zdejmowania szkiców, wspinaliśmy się na wyniosłe przylądki, posuwając się ciągle dalej ku północy sundem Austrji, który ścielił się od jednego lądu do drugiego olbrzymią szybą lodu. Płaszczyzna ta lodowa zasypana była jednakże mnóstwem gór lodowych, a w wielu miejscach poprzerywana szczelinami, co nam niezmiernie pochód utrudniało. D. 3. kwietnia przeszliśmy 81° płn. szer. i zbliżywszy się po kilku dniach pochodu do południowej kończyny kraju cesarzewicza Rudolfa, zwróciliśmy się ku wschodowi, gdyż zdawało nam się, że to ramię zalewu zaprowadzi nas najdalej ku północy. Znaleźliśmy tam jednak taki chaos zwalisk lodowych, że po kilkudniowych wysileniach, zbłądziwszy nadto jeszcze kilka razy z powodu bardzo słabego działania igły magnesowej w kierunku poziomym, musieliśmy zmienić kierunek i powrócić ku zachodowi.

Po drodze spotykaliśmy często niedźwiedzie, z których, dzięki nabytej codziennem ćwiczeniem wprawie, udało nam się kilka ubić. Ale pomimo mięsa, które z nich mieliśmy, zapasy naszej żywności tak się zmniejszały, że nam nie wiele czasu pozostawało i musieliśmy pospieszne

robić marsze, aby posunąć się jak najwyżej ku północy. Pozostawiliśmy tedy część naszego grona z wielkiemi saniami pod ścianą skalistą, którą nazwaliśmy przylądkiem Schröttera, i we trzech puściliśmy się dalej, zabrawszy ze sobą tylko małe sanki, które psy ciągnęły. Chcąc przeciąć kraj cesarzewicza Rudolfa, postanowiliśmy przejść środkiem lodowca, rozpościerającego się przed nami, gdyż okrążanie go byłoby nas naraziło na nową stratę czasu. Ponieważ ciągle silne trwały mrozy, więc nie przeczuwaliśmy żadnego niebezpieczeństwa, i postępując wzdłuż długiego na milę stoku, dostaliśmy się w końcu na jego grzbiet. Ale zaledwie zrobiliśmy parę set kroków, wpadliśmy ja i Zaninovich wraz z psami i saniami w głęboką szczelinę lodowca. Ja wydostałem się szczęśliwie przy pomocy Orela, gdyż zaczepiłem się tuż przy brzegu, ale Zaninovich stoczył się na sam dół przepaści. Nie było innego ratunku, tylko Orel musiał powrócić do zostawionych o parę mil towarzyszów i dopiero ci, przybywszy na miejsce fatalnego wypadku wydobyli za pomocą sznurów i żerdzi majtka i cały ładunek. Możemy to sobie poczytać za szczęście, że nie zginęliśmy tu wszyscy i że już nazajutrz mogliśmy się puścić w dalszą drogę, ale już nie po lodowcu.

Okrążywszy przylądek Habermanna, dostaliśmy się do zachodniego wybrzeża kraju cesarzewicza Rudolfa i szliśmy wzdłuż tegoż morzem po lodzie ku północy. Natura dokoła nas dziwnie nagle się zmieniła. W stronie północnej zwieszało się czarnobłękitne, nadwodne niebo, pod słońcem zbierały się brudne, żółte wapory, temperatura podnosiła się, droga miękła i ze stromych brzegów zesuwał się śnieg z szelestem. Już pierwej spostrzegliśmy ptaki lecące z północy, a tu ujrzeliśmy całe skały okryte niezliczonemi rojami alk i innego ptactwa północnego, które wzlatywało chmurami i ożywiało wesołem świegotaniem całą okolicę, słońcem opromienioną. Wszędzie widać było ślady nóg niedźwiedzich, zajęczych i lisich, a psy morskie rozkładały się gromadami na lodzie. Wszystko to zapowiadało bliskość morza otwartego i droga nasza stawała się coraz niepewniejszą. Nie było już zimowej skorupy lodowej, lecz tylko świeży lód, mający 1—2 cali grubości, przywalony zmarzniętym śniegiem i uginający się za każdym krokiem. Przywiązaliśmy się do sznura i przenosiliśmy wszystkie rzeczy pojedyńczo, torując sobie drogę siekierą i sądując nieustannie grubość lodu. Tak dociągnęliśmy się do dwóch wysokich turni, które nazwaliśmy przylądkiem słupów i tu znaleźliśmy już wodę.

Przed oczyma naszemi roztoczył się teraz widok rozległy i niezmiernie wspaniały. Ze wzgórza widać było ciemne morze, zasiane górami lodowemi, lśniącemi jak perły. Nad niem przez ciężkie chmury przedzierały się promienie słońca, od których iskrzyła się woda. Wyżej też nad słońcem widać było drugie słońce, tylko bledsze, a przez kłęby mgły przebijały się góry lodowe, błyszczące różowo i wydające się niezmiernej wysokości.

Nie mogąc dalej iść morzem, zakopaliśmy nasz ładunek w rozpadlinie lodowca, w której właśnie przepędziliśmy noc, i poczęliśmy się wspinać przez pola śniegowe na wyżynę nadbrzeżną, około 3000′ wyniosłą. Przebywszy lodowiec, który stopniami zniżał się ku wodzie, stanęliśmy u przylądku Fligely pod 82° 5′ płn. szer. a 59° wschod. dług. Ku zachodowi rozlewało się w nieprzejrzaną dal morze, ale w stronie północnej zamykały widnokrąg wybrzeża jakichś lądów, z których jeden nazwaliśmy krajem króla Oskarda, drugi krajem Petermanna, a jednemu z najdalszych przylądków nadaliśmy nazwę przylądka Wiednia. Ponieważ dalszy pochód wybrzeżem, poprzecinanem mnóstwem szczelin, był prawie niepodobny, postanowiliśmy więc ztąd powracać. Wywiesiwszy tedy chorągiew austrjacko-węgierską na przylądku *Non plus ultra* i złożywszy w skale dokument na świadectwo naszej tam bytności, zwróciliśmy się w drogę ku okrętowi, oddalonemu od nas o 160 mil.“

Połączywszy się z towarzyszami, oczekującymi ich z niecierpliwością, powracali spiesznie, chociaż nie bez trudności i przygód. Niepokoiło ich szczególnie odkrycie, że woda przenikała wszędzie dolną warstwę śniegu i niebo ciężkiemi nadwodnemi obwieszało się chmurami. Podczas noclegów słyszeli wyraźnie trzask łamiących się i uderzających o siebie lodów i szum bałwanów morskich. Dobiwszy się do wyspy Hayesa, ujrzeli z przerażeniem, że południowa część sundu Austrji zamieniła się w otwarte morze, które odcinało ich od okrętu. Dwa dni błąkali się wśród największej zawiei śnieżnej nim znaleźli wzdłuż lodowców drogę, którą okrążyli tę otchłań. Nakoniec ujrzeli okręt, stojący na tem samem miejscu, gdzie go zostawili, i d. 26. kwietnia przybyli na jego pokład tak znużeni, że ledwie na nogach utrzymać się mogli. W ciągu całej tej wycieczki ciągnęli bowiem 8—10 godzin dziennie sanie, a sypiali zaledwie po 5 godzin.

Po kilku dniach niezbędnego spoczynku wybrał się Payer z dwoma towarzyszami na trzecią jeszcze wycieczkę. Tym razem skierował się na zachód i w odległości 40 mil od okrętu przekonał się z wysokiej góry, którą nazwał przylądkiem Berneńskim, że kraj ciągnie się daleko w tym kierunku, zjeżony do 5000′ wysokiemi górami i podzierżgany mnóstwem fiordów.

Powróciwszy na statek, zastali już wszystkie przygotowania do podróży z powrotem do Europy ukończone. Nie pozostawało więc już nic więcej do zrobienia, jak wypocząwszy należycie, pożegnać grób towarzysza i kraj, który przypadek dozwolił im odkryć, wynagradzając ich tem odkryciem, sowicie za doznane trudy i zawody, a potem ruszyć w niebezpieczną drogę. D. 20. maja wieczorem przybito flagi do okrętu i mieszkańcy jego pożegnali go z tak ciężkiem sercem, jakgdyby rodzinne porzucali progi bez nadziei powrócenia do nich kiedykolwiek w życiu. Rozpoczął się pochód, równie niebezpieczny jak uciążliwy i męczący.

„Do podróży z powrotem — pisze Weyprecht w sprawozdaniu przedłożonem komitetowi — przeznaczyłem trzy łodzie, osadone na płozach, które w całej długości kazałem pokryć namiotami. Wszystkie trzy były w ten sposób wyekwipowane, aby w razie poniewolnego rozdzielenia się każda mogła sobie sama wystarczyć. Do każdej dodałem po jednych saniach z żywnością. Prowiant nasz składał się z pemikanu, konserwowanego mięsa, kiszek grochowych, mąki, sucharów, czokolady i spirytusu do gotowania. Oprócz dzienników i zoologicznego zbioru, musieliśmy wszystko inne zostawić na opuszczonym okręcie. Pozostały tam między mnóstwem innych rzeczy skóry niedźwiedzi, których ubiliśmy 67 w ciągu naszej wyprawy. Stan zdrowia załogi był zupełnie zadowalniający; tylko dwaj majtkowie, z których jeden przestrzelił był sobie przypadkiem ramię przed kilku tygodniami, nie mogli być użyci do ciągnięcia sań.

Z początku była droga tak złą, że połowa ludzi zaledwie wystarczała, ażeby uciągnąć sanie lub czółno. Musieliśmy dlatego każdy kawałek drogi przebywać po pięć razy, trzy razy z ciężarem, a dwa razy próżno. Śnieg zasypujący szczeliny pomiędzy spiętrzonemi bryłami lodu, powleczony był szklistą skorupą, która załamywała się za każdym krokiem, tak że zapadaliśmy często powyżej pasa, i musieliśmy czołgać się na rękach i kolanach, aby się utrzymać na powierzchni. To też postępowaliśmy tak powoli naprzód, że przy największem wysileniu robiliśmy dziennie zaledwie pół mili morskiej.

D. 19. maja dobiliśmy się do maleńkiej wysepki, oddalonej zaledwie 5 mil od okrętu, która tak lodami zatarasowaną była, żeśmy jej z pokładu okrętu nie widzieli. Już d. 1. czerwca, około 3 mile dalej ku południowi, przybyliśmy na krawędź stałego lodu lądowego, gdzie zaczynał się taki odmęt podruzgotanych mniejszych i większych płyt lodowych, którego ani łodziami, ani saniami nie mogliśmy przebyć. Musieliśmy więc czekać. Korzystając z tego poniewolnego wypoczynku, powróciłem z połową załogi na okręt i sprowadziłem jeszcze czwarte czółno. Próbowaliśmy w kilku miejscach spuścić łodzie na wodę, ale nie powiodło nam się tego dokazać. Dopiero 17. maja roztrącił wiatr północny o tyle kry, żeśmy mogli wiosłować. W obu większych łodziach znajdowało się po 7 ludzi, w trzeciej 5, w czwartej 4. Żywność została rozdzieloną stosownie do liczby znajdującej się w każdej łodzi ludzi. W następujących tygodniach przebijaliśmy się z trudnością pomiędzy gęstemi krami, jużto przenosząc łodzie na płozy, kiedy nam przychodziło przeprawiać się przez rozleglejsze pole lodowe, jużteż wiosłując, gdy nato otwarte pozwalały kanały. Rzadko kiedy spotykaliśmy znaczniejsze obszary oczyszczonej z lodów wody i musieliśmy przemykać się wąskiemi dróżynami, zasypanemi drobnemi kawałkami lodu, które każdej nocy ścinały się w stałą masę. Nieustanne wyciąganie i spuszczanie łodzi zabierało większą część naszego czasu i zużywało nasze siły. Często musieliśmy całe dni wyczekiwać, żeby nam wiatry utorowały zamkniętą drogę. Na dobitek nieszczęścia panowały prawie nieustannie południowe wiatry, które, pędząc nas ku północy, niweczyły nasze usiłowania przedarcia się ku południowi. D. 15. lipca ujrzeliśmy się znowu tuż w pobliżu tej wysepki, którą przed miesiącem opuściliśmy.

(D. n.)

POGADANKI.

IX.

Nauki jako takie mają osobną swoją rubrykę w „Tygodniu“; dzieją się atoli w świecie naukowym rzeczy, dla których odpowiedne miejsce jest chyba w tych „Pogadankach“ i o których milczeć będą na wieki, roczniki uczonych towarzystw. Roczniki te wspominają jedynie o mądrych rzeczach, których udało się dokazać pp. uczonym jeżeli zaś której z wyższych i najwyższych inteligencyj kraju wydarzy się jaki *lapsus*, odsyłany bywa do kronikarza jak gdyby do specjalnej jakiej

*

komisji. Trudno rozstrzygnąć, czyli kronikarz powinien czuć się dumnym, czyli też upokorzonym z tego powodu — co do mnie, przyznam się, że jest to zadanie wcale niemiłe. Jest pewien rodzaj ludzi nader użytecznych i potrzebnych — tych mianowicie, których powinnością jest zmiatywanie i wywożenie rozmaitych nieczystości fizycznych, gromadzących się w niemiły sposób wszędzie, gdzie jest większy stek ludności. Ludzie to, powtarzam, nader użyteczni, bez nich, zła woń dokuczałaby mieszkańcom, dziesiątkowałaby ich morowa zaraza. Oprócz tego zapewniają, że mając ciągle do czynienia z przedmiotami jak najbardziej mefitycznego odoru, ludzie tego rodzaju nie ulegają zupełnie epidemicznym chorobom, i tak między innemi, nie było wypadku, by czyściciel ścieków dostał cholery. Mimo to, nikt nie zazdrości mu jego rzemiosła — i nie staje się ono zazdrości godnem, przeniesione na grunt moralny. Słaba to pociecha, że przez analogję, ten co ma do czynienia z samemi niedorzecznościami, powinienby być zabezpieczonym od wszelkiej epidemji moralnej, a ten, co zbiera *lapsusy*, sam powinienby być wolnym od nich. Gdyby nawet tak było, na nic się to dzisiaj nie przyda w świecie, w którym weszła już w przysłowie dysproporcja między wagą rozumu a szczęścia.

Otóż, jeden z kandydatów do katedry, która ma być kreowaną na uniwersytecie lwowskim, miał lut szczęścia. Rozumu jego nie ważyłem, i być może, że posiada go więcej, niż go dotychczas objawił, zresztą: *Wem Gott gibt ein Ambt, dem gibt er auch Verstand* mawiali Niemcy, póki nie zmądrzeli; dla czegoż i my nie mamy trzymać się tej zasady, nim się urodzi nasz Bismark? Dosyć, że wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego otrzymał polecenie, zaproponować do nominacji indywiduum, najbardziej uzdolnione do objęcia nowej katedry. Wydział wiedział o dwóch profesorach szkół średnich we Lwowie, z których jeden jest autorem bardzo cenionych dzieł o przedmiocie, oczekującym owej katedry na uniwersytecie dla tem gruntowniejszego swojego traktowania, drugi zaś także posiada specjalne w tej mierze studja, i przysłużył się szkołom krajowym nader pożyteczną publikacją w swoim zawodzie. Ale któryś z pp. profesorów wydziału filozoficznego ma faworyta, nie-Galicjanina, który mógłby być proponowanym dopiero wtenczas, gdyby się pokazało, że w kraju nie ma odpowiedniego kandydata. Ażeby osiągnąć tę ewidencję, wydział pominął milczeniem istnienie dwóch uzdolnionych kandydatów, i zamiast nich, zaproponował trzeciego, tego, o którym mówiłem, że posiada lut szczęścia i x lutów zdolności. Ażeby obliczyć to x, nie było innej podstawy, oprócz przekładu jakiegoś podręcznika, którego dokonał nasz kandydat, z niemieckiego na jakieś narzecze, dotychczas wprawdzie nie używane w potocznej mowie, ale według zapewnień filologów, mające wielką przyszłość przed sobą, jeżeli się zmusi mieszkańców Galicji do zapomnienia wszystkich innych języków, a do nauczenia się tego jednego, umyślnie dla nich wynalezionego. Senat akademicki, powołany do dania opinji w drugiej instancji, potępił propozycję wydziału, a nawet ci członkowie, którzy należą do uprzywilejowanych fabrykantów nowego narzecza, wyrazili zdanie, iż przekład świadczyć może jedynie o talentach lingwistycznych swego wykonawcy, nie zaś o jego kwalifikacji do wykładów, o które chodzi. Niektórzy byli nawet więcej złośliwymi, i dodali, że kandydat znany im jest jako dyletant w dziedzinie muzyki wokalnej, że mieli przyjemność słyszeć go na wieczorkach i wyrobić sobie niezbyt złą opinję o jego głosie, że atoli o debiutach jego na polu nauki nie doszła ich dotychczas najmniejsza wiadomość, coby musiało było nastąpić, gdyby kandydat posiadał chociażby cień kwalifikacji na profesora uniwesytetu.

Czemże jest wszelako niekorzystne zdanie jakiegokolwiek senatu, jeżeli się ma „lut szczęścia?“ Zważywszy *pro* i *contra*, najwyższa instancja udzieliła pozornemu kandydatowi wydziału, urlopu całorocznego dla nabycia kwalifikacji, której żąda senat, a mięszając *utile dulci*, dała mu stypendjum z nadzwyczajnych, na podobne cele przeznaczonych funduszów.

Tak więc, nie otrzymają katedry uzdolnieni kandydaci miejscowi, ale nie otrzyma jej także kandydat *in petto* wydziału filozoficznego. Weźmie ją „ręka, co o struny trąca.“ *Musikalisch gebildet muss man sein, und Glück muss man haben!* Natomiast zaręczam, że nie potrzeba być koniecznie profesorem wydziału filozoficznego, ażeby palnąć — taki *lapsus;* to potrafi przecież pierwszy lepszy marszałek powiatowy, i historja królestw Galicji i Lodomerji bogatą jest w świetne przykłady, że ludzie popełniali najkolosalniejsze głupstwa, nie zdawszy poprzednio rygorozów i posiadając takie tylko dyplomy pergaminowe, które dowodziły, że przodkowie ich nie byli także doktorami filozofji...

* * *

Z Krakowa nadeszły zdumiewające wieści. Po trzech latach, po raz pierwszy przyznano pierwszą nagrodę w konkursie dramatycznym; w r. 1873 i w r. 1874 nie było bowiem między nadesłanemi utworami ani jednej sztuki, któraby zasługiwała na tę nagrodę, t. j. któraby miała wartość bezwzględną, a nietylko była stosunkowo lepszą od innych. Tym razem, aż dwa dramaty i jedna komedja przypuszczone były do tego zaszczytnego współzawodnictwa — 7mią głosami przeciw 3 przyznano pierwszeństwo dramatowi dr. Adama Bełcikowskiego p. t. *Mieczysław II.* Pokazuje się tedy, że nagrody konkursowe nie chybiają swego celu. W istocie, są one koniecznie potrzebnemi do ożywienia literatury dramatycznej u nas w Polsce. Jest to zawód, któremu najmniej mogą poświęcać się pisarze, nie mający niezawisłego bytu materjalnego. Wydawnictwo utworów dramatycznych nie opłaca się, jak chyba po śmierci albo po skończeniu karjery cenionego i ulubionego autora. Sceny nasze, nie wyjmując żadnej, nie są dość dobrze prowadzone, by mogły zapewnić trwałe powodzenie choćby najlepszej sztuce, nie należącej do najlżejszego rodzaju melodramatycznego. Tymczasem, dobrej komedji ani dobrego dramatu nie można napisać, tak sobie, w chwilach wolnych od innego zajęcia; dramat zwłaszcza historyczny jest pracą absorbującą czas i siły, której podjąć się może albo ten, co chce walczyć z nędzą, albo ten, co przypadkiem nie widzi się zniewolonym żyć z pióra. Zdawało się już tedy, że pole literatury dramatycznej zostawione będzie raz na zawsze, wyłącznie i nieodwołalnie — hrabiom. Około pół tuzina nazwisk poprzedzonych tym tytułem figurowało na afiszach, zapowiadających nowe sztuki. Krytyka — także niezbyt intratne zajęcie — została atoli w ręku demokratów, i hrabiowie nieraz mieli się z pyszna. Otóż teraz konkursa zdemokratyzują literaturę dramatyczną, a hrabiowie zapewne wezmą się do krytyki, jak już tego mieliśmy bardzo chwalebne przykłady — w istocie chwalebniejsze od niejednej recenzji, niezapieczętowanej koroną o dziewięciu perełkach, ale natomiast „ostęplowanej“, (jeżeli przetłumaczymy ten wyraz dosłownie na język francuski) ostęplowanej w *tromtadratycznym* urzędzie clowym, i zaopatrzonej aprobatą „Szczutka“. A więc, niech żyje nowa era, dla której demokracja dostarczyć ma twórczej wyobraźni, a arystokracja chłodnej, krytycznej refleksji!

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(*Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań 1875.*)

Socjalizm słowiański, na którego czele wyczynia się umysłowość polska, ma „mesjaniczny“ charakter. Okazuje go autor w dziełach Hoene-Wrońskiego, w Polsce Chrystusowej Ludwika Królikowskiego, w piśmie „Ojcze nasz“ Augusta Cieszkowskiego i w poezjach Zygmunta Krasińskiego. Wskazuje wszędzie genjusz polski, wyższym i szlachetniejszym od genjusza zachodu. Są to zapewne dzieła z wybitniejszym charakterem humanistycznego uspołecznienia narodu i ludzkości, wszakże rzekłbym, że cała nasza literatura porozbiorowa, krom pieni, które przed upadkiem naszym, o poprawie rzeczypospolitej traktowały, nosi na sobie to socjalno-mesjaniczne piętno, już dla tego samego, że pisarze nasi piszą pod wpływem żywej i gorącej nadziei dla przyszłości ojczyzny swojej, wskazując ku temu środki i sposoby.

„Hoene Wrońskiemu“ chodziło o zbawienie człowieczeństwa, i dlatego nie tylko miał się sam za Mesjasza, ale i naukę swoją nazwał „Mesjanizmem.“ Jak człowiek, tak i człowieczeństwo, składa się z ciała i ducha. Jak człowiek tak i ono przejść musiało wiek niemowlęcy, dziecięcy, młodzieńczy, aż się dobrało stanowiska rozumnego męża. Z istoty „biernej“ zwolna stawało się istotą czynną, tam było niewolnikiem i rządziło się rozumem matki ziemi, tu czuje się w wolności i rządzi się rozumem Boga. Między jedną i drugą erą, musi być era przechodnia łącząca cele fizyczne i duchowe. Okres pierwszy wyjawia się w starożytnej Azji i Egipcie. Okres trzeci dopiero teraz się poczyna. Pomiędzy obydwoma temi okresami leży najprzód epoka grecka i rzymska, która wyrobiła państwo i prawodawstwo; następują wieki średnie, gdzie oddechem ludzkości była wiara; nakoniec począł się okres krytyki od reformacji Lutra aż do rewolucji francuskiej. Ludzkość wypełnia przeznaczenie swoje w trzech wielkich erach: w erze celów „chrematycznych“, rzeczowych, do których poznania starczy chrematyczny rozum (r. zmysłowy); w erze walki zaciętej „chrematyczności z achrematycznością“, i w erze celów achrematycznych do których poznania trzeba achrematycznego, twórczego rozumu (umysłowego), gdzie będzie całkowite zwycięstwo niebios nad ziemią, czyli ostateczny człowieczeństwa kres.

W tej walce nieubłaganej, zaciekłej i nielitościwej, występują dwa stronnictwa „wyzwolonych niewolników.“ Pierwszym chodzi o tryumf „prawdy,“ drugim o tryumf „cnoty.“ A że i jedna i druga są koniecznemi warunkami społeczeń-

stwa, ztąd ani jednego ani drugiego stronnictwa niweczyć nie można. Oba są konieczne, bez nich nie byłoby postępu. Nie pomaga tu ani stos płomienny kościelny, ani miecz rządowy, ani gilotyna rewolucyjna. Jest to „autynomia społeczna“, którą tylko potęga ogólnie rozszerzonego światła pokonać może i wprowadzić ludzkość na tory zbawienia. Oto zadanie mesjanizmu.

Człowiek „poznania“ jest człowiekiem doświadczenia, które wiedzie do poznania prawdy, człowiek „uczucia“ jest człowiekiem objawienia, któremu chodzi o cnotę; człowiek zaś „znania“ jest człowiekiem rozumu twórczego, a za tym prawodawcą obu stronnictw i panem autynomji społecznej. W erze celów ostatecznych, rozum achrematyczny od wszelkich obcych wpływów wolny, sam oznaczyciel swój, którym będzie: „widzenie Boga bezpośrednie i wydobycie z siebie nieśmiertelności. Bóg i nieśmiertelność ludzka opuszczą niebiosa i przeniosą się na ziemię“ (str. 149) „Ludzkość przejdzie z czasu w wieczność, i odzyska raj utracony. Czas i śmierć ustanie. Panująca prawda i cnota zrobią biedy, nędze i niedole niepodobieństwem. Nie ma też ich niebo“ (str. 149 i 150).

Taki pochód człowieczeństwa będzie dziełem dzielności twórczej Bożej, a dokona go dzielność twórcza człowieczeńska. „Zaświta czas spełnionego odkupienia, oraz odrodzenia się człowieczeństwa duchem. Moc grzechu pierworodnego zniknie, a skończą się wieki Adamowego upadku. Jak niegdyś w erze pierwszej panował Bóg Ojciec, a w erze drugiej, lub dzisiaj, Bóg syn, we wszystkich stronnictwach i obozach obecny, a wszędy od bandy piekielnej krzyżowany, tak w erze trzeciej uchwyci za berło Bóg Duch św. (str. 152) Hoene-Wroński utrzymuje, że jak prorocy starego testamentu widzieli zbliżający się czas Boga Syna, tak on dziś widzi zbliżający się czas Ducha św.

Chrześcijaństwa dotąd nie rozumiał świat. Zrozumienie to i reforma wyjść musi z chrześcijaństwa. Jeżeli jej nie dokona papież, uczyni ją car, jako naczelnik katolicyzmu wschodniego. Słowo Boże stać się musi słowem ludzkim. W tym celu jedynie stworzon jest świat. Nie będzie różnicy między filozofją i religją. Piekło, a z niem bieda i nędza ziemska ustaną. Chrystus obiecał zesłanie Ducha św., „Parakleta“, gdy świat zdolen będzie pojmować nie tylko rzeczy ziemskie ale i niebieskie. Zesłanie to teraz dopiero nastąpiło.

Autor mesjanizmu wzywa w imię Boga i ludzkości wszystkich mężów światła i dobrej woli do utworzenia „unji mesjanicznej“ i zakłada jej biuro we własnem mieszkaniu. Rozpisuje listy do papieża i do monarchów, aby przystępowali do unji. Wedle niego Francja urabia posłannictwa mesjanicznego „praktyczną“ stronę, Niemcy „teoretyczną“, a Słowianie (boć i Wroński Sławianinem rodem z Wielko-Polski) urabiają sam „parakletyzm.“ Do unji przynależy zwierzchność nad rządem i kościołem, a z nimi nad całym człowieczeństwem.

Oto i zakres mesjanicznej nauki Wrońskiego. Był to znakomity matematyk, a pod realnym względem i filozof. Wszakże w charakterze socjalisty-mesjasza, nie zdaje nam się stać na tak wysokim piedestale, na jakim go Trentowski stawia. Nasamprzód nie dostaje mu tej gorącej miłości, która serce każdego twórcy socjalizmu, a cóż dopiero Mesjasza, dla współbliźnich przejmuje. Ztąd poszło, że został tylko teoretykiem, obfitym pisarzem o przespołecznieniu ludzkości. Nie zdobył się ani na utworzenie szkoły, z którejby uczniów swoich, jako opowiadaczy „dobrej nowiny“ na cały świat rozsyłał; ani sam nie nauczał słowem żywem, któreby tłumy słuchaczów około niego gromadziło. Unja, którą zapowiedział, chybić musiała zupełnie celu, jako najpraktyczniejszy sposób opowiadania słowa Ducha św. Podobnie śmieszną była chęć jego nawrócenia Ojca św. i monarchów dla celów unji mesjanicznej. Wroński był matematykiem, ale nie był astronomem. Zda się mieć ludzkość naszego tylko planety na względzie. Cały jego mesjanizm i parakletyzm nabrałby innego znaczenia, gdyby był pomniał, że na mieszkańcach tej ziemi nie ogranicza się wszechmoc Boża. Ale że po nieskończonych systemach słonecznych i planetarnych, muszą się równie znajdować twory rozumem tak chrematycznym, jak achrematycznym obdarzone i to w najrozmaitszej, acz nam niewiadomej mierze.

Wdzięczni jesteśmy autorowi Panteonu, że nam podał dość obszerną biografję Hoene-Wrońskiego. Wszelako tak ta biografja, jak porównanie dość długie własnej filozofji, z nauką mesjanizmu, zawierające blisko 30 stronic, nie należy wcale do rzeczy, i przerywa niemile samą osnowę rozbierzy wiedzy ludzkiej. (C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Dokończenie*).

(*Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.*)

Przejdźmy teraz do stosunków pomiędzy panującym a ludem. Chińczyk jest wiernym poddanym swojego cara, poczytuje go za przedstawiciela Boga i przeznaczenia i jako przeto pomazańcowi Bożemu winien mu ślepe posłuszeństwo bez granic. Jeżeli car jest złym monarchą, tem gorzej dla narodu; ale to nie osłabia w niczem obowiązku poddania się bez szmeru jego wyrokowi, choćby niesprawiedliwemu. Ze wszystkich zbrodni najcięższą jest bunt: lecz skoro takowy uda się, widocznie niebo tak chciało. Jeżeli skutkiem zwycięzkiego powstania przywłaszczyciel zasiądzie na tronie, przysługuje mu bezpośrednio używanie wszelkich praw i przywilejów naczelnika dynastji, którego zepchnął z tronu. Powodzenie zostaje uprawnionem, bo czyż ono nie jest objawem wyraźnej woli Boga? Dla tego pierwszym obowiązkiem poddanego jest bezwzględna wierność carowi, połączona z wdzięcznością za czyny przez niego dokonane. Po tych objaśnieniach przystąpimy do pierwotnej kwestji. Lud chiński, mając tak wysokie wyobrażenie o potędze i władzy carskiej, odnosi się do niego z mnóstwem spraw najrozmaitszych. Utrzymanie porządku publicznego, egzekucje, ochrona gmachów państwowych, drogi, kanały, mosty, fortece i porty, są pod zawiadowstwem cara, a nie mieszkańców. Otóż zdarzyło się, iż car teraźniejszy jest małoletnim; że ojciec jego, będąc ograniczonym na umyśle a przytem złych obyczajów, nie pracował dla dobra narodu; i że jego dziad uchodził za władcę o miernej inteligencji. Gdy zaś rzemiosło panującego w Chinach nie jest synekurą, wypada z tąd, że jeżeli nieudolny panujący zaniedbuje się w dodatku w pełnieniu swych obowiązków, ogół na tem cierpi. Tak się też stało. Przypatrzmyż się Pekinowi! Ulice podobne do rynsztoków; strumienie ogołocone z nakryć marmurowych, których rumowiska utrudniają drogę przechodniom; brud w świątyniach, odstraszający do uczęszczania na modlitwę, przypuściwszy, że zdjęłaby Chińczyków ochota modlenia się w kościołach; inne budynkki publiczne w najopłakańszym stanie; a po na zewnątrz stolicy kanały i w ogóle wielkie arterje komunikacji lądowej i wodnej na wpół zburzone; gościńce przeistoczone, wedle pór roku, na kotliny wyschłych potoków lub na rzeki i bagniska! A wszystko to jest dziełem dwóch ostatnich panowań. Monarcha przedsiębiorczy, pilny, rozumny, mógłby zatrzeć te smutne ślady niecnych rządów poprzedników swoich, wraz z piętnem upadku rażącego wzrok Europejczyka, a któremu nie dziwią się krajowcy.

Miałem odwidzieć księcia Kung, brata cesarza Hien-fung, a tem samem stryja obecnie panującego Tung-chi. Książe Kung jest prezesem wielkiej rady, oraz mężem stanu najznakomitszym w Chinach. Znaną jest rola, jako ten dygnitarz odegrał przy wstąpieniu na tron swego synowca. Ciekawa to zaprawdę historja, rzucająca wiele światła na wewnętrzne stosunki dworskie. Za zbliżeniem się wojsk anglo-francuskich, dwór wydalił się był do Je-ho. Hien-fung zakończył tam żywot 22 Sierpnia 1861 r. Dziesięcioletnie jego penowanie było pasmem klęsk wszelkiego rodzaju, mianowicie: rokoszu Taepings'ów, wojny z Anglją i Francją, zubożenia państwa i upadku rządu. Ponieważ następca tronu miał przed zgonem Hien-fung'a lat dopiero siedm, przeto tenże umierając ustanowił regencję, złożoną z ośmiu członków, po większej części krewnych swoich, a znanych z nieprzyjaznego usposobienia względem cudzoziemców. W kilka dni potem książe Kung, osobistość rządząca krajem pod niebytność dworu w Pekinie, zawiadomił ministrów zagranicznych o zejściu ze świata najjaśniejszego pana okólnikiem w tych słowach: „Jego święta osoba, dosiadłszy smoka, uleciała do niebios“. Powrót następcy tronu, długo opóźniany, nastąpił wreszcie 1 Listopada 1861 r. na naleganie księcia Kung, za zgodą cesarzowej. Gdy książe wyjechał dwa dni wprzód z oddziałem wojska w celu spotkania nowego monarchy, i gdy członkowie regencji usiłowali zapobiedz zbliżeniu się ich, zagroził im użyciem siły zbrojnej i zmusił do zaniechania oporu. Tak więc Kung obaczył młodego cesarza i co ważniejsza obiedwie cesarzowe: jedną, wdowę po Hien-fungu; drugą, swoją nałożnicę, matkę młodego cesarza. Ta ostatnia bowiem patentem nieboszczyka była wyniesioną także na godność carycy.

Zaledwie przybyli do Pekinu, zwołał radę rejencji i odczytał jej rozkaz najwyższy rozwiązania takowej, pozbawienia pierwotnego znaczenia, i powierzenia prowizorycznych rządów starszej cesarzowej. Zamach ten, będący prawdopodobnie uknutym za zmową Kung'a z obiema wdowami podczas podróży, przestraszył członków rozwiązanej rady; dwóch atoli książąt zamiast się poddać losowi, udało się z hałasem do pałacu w celu upominania się o swoje prawa. Zuchwałość taka spowodowała ich ostateczny upadek. Wtrąceni do więzienia i oskarżeni o sfałszowanie carskiego testamentu, zostali skazani na śmierć i zginęli w katuszach. Mieszkańcy Pekinu, podobnie jak pospólstwo na całym świecie, hołduje powodzeniu. Książe Kung stał się więc popularnym i uważanym za jedynego człowieka, zdolnego rządzić Chinami. Okazują mu też wdzięczność za skłonienie cesarzowych do przywrócenia Pekinowi powagi stolicy. Pomimo to napotykał on w działaniach swoich wiele przeszkód do zwalczenia. Starsza cesarzowa, która nie miała potomstwa, jest charakteru łagodnego i obojętnego; matka zaś teraźniejszego monarchy uchodzi za białogłowę ruchliwą, ambitną i mściwą. Chciała ona przyjąć współudział w rządach państwa i otrzymała go. Memorjały wysokich dygnitarzy i różnych rad zostały odtąd przysyłane do połączonych ministerstw. zkąd oddawano je za pośrednictwem księcia Kung'a do sankcji carycy, które ją dają albo jej odmawiają. Położenie przeto księcia wobec władzy tych dam bywa często drażliwe. Zdarzyło się nawet, iż nie tylko wypadł raz z ich łaski, ale nadto dekretem. ogłoszonym w „Gazecie Pekinu“ był złożony z urzędu i pozbawiony wszystkich godności. Wiadomość o tem pierzchła lotem błyskawicy i wzbudziła lęk ogólny. Widziano dostojników państwa roniących z tego powodu łzy żalu. Poczęto uważać cesarstwo za zgubione; aż carycе obawiając się szkodliwych następstw, cofnęły dekret w imieniu panującego i dopiero książe został przywrócony do obowiązków. Z wielkiem zaciekawieniem udałem się do niego dziś z rana. Przejechawszy spiesznie wschodnią część stolicy, stanęliśmy w Tsungli-yamen, przed skromnej powierzchowności domem ze strażą wojskową Przyjęci byliśmy zaraz na wstępie przez Wen-siang'a, członka rady, i Tsung-Hsün'a, sławnego poetę, utrzymującego korespondencję z legacjami zagranicznych

dworów. Wszystkie ważne dokumenta, tyczące polityki zewnętrznej wychodzą z pod jego pióra. Ci dwaj panowie, zaraz z trzecim ministrem, przeprowadzili nas przez mały korytarz wychodzący na dziedziniec, gdzie spotkaliśmy księcia. Ten wziąwszy mię za rękę powiódł do pawiloniku, zaledwie wystarczającego na pomieszczenie okrągłego stołu, zastawionego mnóstwem mięsnych zakąsek, smarzonych owoców i cukrów.

Gospodarz posadził mię obok po lewej stronie, to jest na miejscu honorowem; sam zaś przy pomocy świty swojej napełniwszy spodki od filiżanek przeróżnemi łakociami, zachęcał nas do jedzenia, a najbardziej do picia. Minister Tsung, osobistość wykształcona, za każdem wychyleniem toastu pokazywał mi, iż go wypróżnił do dna; książe Kung śmiał się do rozpuku i rozmawiał silnym głosem, zowiąc Tsung'a pijakiem.

Przy końcu uczty Kung łaskawie raczył zwiastować mi swoje odwidziny w jednym z dni następnych, skoro mu zaś wynurzyłem żal z niemożności korzystania z tego zaszczytu, a to z powodu zbliżającego się wyjazdu, zawołał dolewając mi puhar: „Ha! kiedy tak, to wypada dzisiaj pić winko, ofiarowane mi przez jenerała Viangali z okazji mych odwidzin.“

Pan Bismark, służący mi za tłumacza, wywiązywał się doskonale, podtrzymując żywą gawędę. Książe uczestniczył w niej ochoczo, będąc w brylantowym humorze, co pedobno rzadko mu się przytrafia. Powiedziałem księciu, że rozgłos sławy jego zaleciał aż do Europy.

— Prawdziwie nie wiem — odrzekł — czem zasłużyłem na taki zaszczyt i czemu winienem moje wyniesienie się.

— Najprzód urodzeniu — dodałem — a następnie męztwu i mądrości. Pierwsze nadało mu zajmowane miejsce, a druga posłużyła do utrzymania takowego, obecnie i na przyszłość.

Uśmiechnął się na te słowa z wyrazem zadowolenia.

— Nie wiem, co na to odpowiedzieć — odezwał się w końcu. — Po pierwsze, nie śmiem panu przeczyć, a powtóre przyznając nie mógłbym sam siebie chwalić. Oto wypijmy jeszcze po kielichu!

Biesiada trwała przeszło godzinę, uznałem więc za stosowne pożegnać towarzystwo. Książe Kung obiecał mi przysłać swoją fotografję, jak tylko będzie zrobioną (i dotrzymał później słowa); nareszcie wynurzył żal, iż się rozstaje ze mną „tem bardziej — rzekł — iż nie zobaczymy się więcej.“ A wymówił to z taką szczerością i prawdą, że te ostatnie wyrazy na zawsze pozostaną mi w pamięci.

J. Gordon.

O POPRAWIE
społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfera.

(Ciąg dalszy).

W najgłębszej swej istocie okazują się dwa prądy w nowożytnym naszym rozwoju społecznym, zgubnemi dla dzisiejszej organizacji społeczeństw. Jak bowiem szkodliwą jest dla rodziny przemysłowa praca kobiet zamężnych za murami domu, tak znowu coraz silniejszy zastęp starych panien, stworzył w społeczeństwie groźny w swych objawach proletarjat niewieści.

Nie wiele pocieszającego da się powiedzieć o losie kobiet, które zmuszone żelazną koniecznością przepędzać życie wśród nieustannej prawie pracy przy maszynie w miastach większych, tym sposobem żywić mają rodzinę. A że tak jest nie da się bynajmniej temu zaprzeczyć! Należy to do pięknych ideałów, o których dziś prawie nikt nie marzy, że małżonek i pan domu pracować powinien wyłącznie na utrzymanie rodziny i że zawsze odpowiednio wynagradzają jego pracę, Zdarza się to zaledwie u dostatnio i bez trosk żyjącej klasy średniej, że żona zarządza domem i jest niejako skarbnikiem zdobytych zasobów i majątku męża. W niższych atoli warstwach społeczeństwa, „kobieta“ po wszystkie czasy musiała zarówno z mężczyzną ciężko pracować, aby przysporzyć dobytek domowi. Rzućmy tylko okiem na stosunki ziemiaństwa i przypatrzmy się ludności wiejskiej. Widzimy tam kobietę i dziewczynę pracujące zarówno ciężko od świtu do nocy przy wszystkich zajęciach gospodarskich, a nadto chodzące jeszcze na zarobek postronny. Dzieje się tak nietylko u nas, ale i w całej Europie. Wiadomo, że wynalazki nowożytnych sposobów fabrykacji, zmieniły nie mało zewnętrzną postać zarobku nawet u pracującej klasy męskiej, dla kobiet zaś stały się one formalną klęską. Nabycie przygotowawczych wiadomości, których kobieta nieodzownie potrzebuje do zawodu domowego, wychowanie dzieci i pełnienie domowych obowiązków, wszystko to dzisiaj jest tak utrudnionem kobiecie pracującej przy fabryce, że nikt się tego dawniej nie spodziewał. Chociaż z drugiej strony kobieta taka nie czuje sama tego zboczenia z naturalnej drogi i niedorosła jeszcze do zrozumienia własnej klęski.

Nie podobna ludzić się w tej mierze, żeby ustawodawstwo skutecznie zdołało zapobiedz podobnemu rozwojowi stosunków. Oprócz bowiem przestrzegania zasadniczych warunków wśród których rozwijać się powinno fizyczne i moralne dobro klas pracujących, a przedewszystkiem pracujących kobiet i dzieci, państwa same mało co więcej mogą uczynić

Do umoralnienia klas pracujących i polepszenia ich bytu przyczynić się mogą nierównie więcej od litery ustaw dobrowolne usiępstwa obok dobrowolnej opieki, jaką otaczać powinne wyższe, wykształceńsze klasy społeczeństwa rodziny pracujących wyrobników. W rozmaitych kierunkach aczkolwiek na razie z bardzo niedostatecznemi jeszcze środkami, przystępuje społeczeństwo do rozwiązania tej olbrzymiej kwestji. Wewnętrzne misje kościelne starają się na drodze etyczncj wpłynąć na los robotnika. Fabrykanci alzaccy usiłują już od dawna systematycznie pielęgnować wrodzoną skłonność robotnika do życia domowego, zajmują się wychowaniem dorastających pokoleń a przez ulepszone urządzenie fabryk i przestrzeganie sanitarnej opieki starają się zmniejszyć śmiertelność delikatnych dzieci. W Angli obok znakomitych przemysłowców zajmują się kobiety najwyższych stanów sprawą umoralnienia pracującej klasy kobiet. Od czasu bowiem zniesienia niewolnictwa i pańszczyzny mało jest spraw, któreby tak natężonej uwagi i skutecznego poparcia wszystkich przyjaciół ludzkości domagać się miały prawo, jak właśnie sprawa kobiet. Boleśnie jest wyznać, że robotnic zbyt często bronić potrzeba od nienawiści i nieprzychylności robotników którzy przecież równy z nimi los dzielą.

Zaledwie pracujące klasy mężczyzn po długich walkach uzyskały równość i wolność wobec zastarzałych przywilejów, a już zaczęły, obawiając się współzawodnictwa niewieścich sił roboczych, nieprzychylnie spoglądać na swych naturalnych towarzyszy niedoli a gdzie niegdzie nawet występować czynnie. A przecież zaprzeczyć się nie da, że kobiety mają równe prawo z mężczyzną domagania się zajęcia i korzystania z owoców swej pracy. Dla tego też ze wszech miar słusznem i jasnem jest zdanie, które wygłosił Maurycy Müller w roku 1867 na kongresie robotników w Gera, że: „kobieta pod względem gospodarstwa społecznego jest do wszelkich prac uprawnioną, skoro tylko dostateczne uzdolnienie do nich przynosi.“

Z tej więc zasady wolności osobistej wychodzić należy, chcąc należycie ocenić doniosłość żądań niezamężnych dziewcząt klas średnich które obok innych praw domagają się przedewszystkiem rozszerzenia zakresu swego powołania i przyznania im większej samodzielności w życiu obywatelskiem.

Niektórzy ekonomiści są zdania, że trzeba się właśnie sprzeciwiać tym dążnościom dla tego że przyznanie takowych umocniłoby jeszcze bardziej wzmagającą się niechęć do zawierania małżeństw w miarę uzyskiwanej przez kobiety samodzielności.

Zapatrywanie takie jest nietylko bardzo niejasnem, ale nadto niesprawiedliwem. Najpierw jest to niezrozumieniem ludzkiej natury, jeśli się sądzi, że społeczna samodzielność mogłaby przeszkadzać kobiecie do zaspokojenia wrodzonej skłonności do życia familijnego, owszem wszelkie doświadczenia sprzeciwiają się temu najbardziej, a między innemi przeważnie fakt, że największe zwolnienie węzłów rodzinnych mające swe źródło w zajęciach fabrycznych u klas wyrobniczych, wywołuja największą skłonność do „lekkomyślnego“ zawierania małżeństw. Zdolność zarobkowania u klas średnich zastępuje niejako kapitał brakujący do zakładania domowego ogniska, bez którego brakłoby nowożeńcom wszelkiej podstawy do zawarcia małżeństwa. Dla tego też małżeństwa zawierane przez najniższą klasę wyrobniczą, mnożą tylko proletarjat. We Francji i Anglji zrobiono doświadczenie, że dziewczęta wyuczone w zakładach np. drzeworytnictwa lub sztucznego tkania jedwabiem, wychodzą rychło za mąż, gdyż przynoszą mężowi w posagu rzemiosło, z którego w danym razie utrzymać mogą wspólnie przyszłą rodzinę.

Przedewszystkiem jednakże zastanowić powinniśmy się nad stroną „prawną“ naszego studjum. Skorośmy raz zmuszeni przyjąć jako pewnik, że stare panieństwo znacznej części dziewcząt ma swoje źródło w „statystycznej konieczności,“ i wypływa albo z przeważnej liczby płci żeńskiej, albo jest nieodzownem następstwem niekorzystnych i nie dających się żadną miarą zmienić stosunków społecznych, — bo trzeba albo „wielożeństwo“ zaprowadzić, albo zgodzić się na następstwa, od których zawisło najdawniejsze prawo ludzkie tj. prawo egzystencji. Trzeba więc dla kobiet klas średnich uczynić przystępną taką dziedzinę pracy, któraby odpowiadała niewieścim zwyczajom, ich siłom i skłonnościom, a przedewszystkiem ich zdolnościom umysłowem. Nie jest to rzeczą niepodobną, że przez współzawodnictwo kobiet niektórym mężczyznom odbierze się zarobek lub im się go znacznie uszczupli, gdyż praca uzdolnionych kobiet w niektórych zawodach może łatwo przewyższyć mierną pracę męską i tem samem zrobić nam skuteczną konkurencję. Wzgląd ten jednakże musi ustąpić przed daleko szerszym poglądem, jakiego dopomina się proste zasadnicze prawo ludzkie, prawo egzystencji, wobec którego wszyscy równi jesteśmy. Czyż ośmieliłby się kto dowodzić, że niezamężnej dziewczynie z klasy wykształconej nie pozostaje nic innego jak wybór między godnością przełożonej klasztoru a trudami stanu guwernantki; między

zamaskowaną jałmużną panny respektowej lub szyciem nie wystarczającem nigdy na najnieodzowniejsze potrzeby najskromniejszego utrzymania? Czyż można twierdzić że podział pracy, za którą płacą stosunkowo licho, odpowiada tak u mężczyzn jak i u kobiet wymogom słuszności? Nie tylko w podaniu starożytnej Grecji zasiada Achilles w stroju niewieścim do kołowrotka. Pani Faityfal dowiodła, że w Anglji w kopalniach i przy rybołowstwie nadbrzeżnem właśnie najuciążliwsze roboty wtłaczają na barki kobiet, podczas gdy mężczyźni zachowują dla siebie roboty łatwiejsze i popłatniejsze. Sprawozdanie władz szkolnych szkockich z ostatnich czasów zawiera fakta najsmutniejsze. Czytamy tam bowiem pomiędzy innemi, że w zachodnich nadbrzeżnych okolicach Szkocji używają kobiet często zamiast zwierząt pociągowych. Mieszkaniec wyspy Lewis, każe swej żonie iść w bród z naładowanym koszem ryb, czekając sam na brzegu aby żona również na barkach przeniosła go potem przez wodę. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska i angielska.

— La Venus de Milo, recherches sur l'histoire de sa découverte, par M. Jean Aicard; Paris – Sandoz et Fischer — 1875.

Książka powyższa, interesuje w wysokim stopniu tych wszystkich, którzy oglądając w galerji Luwru sławną Wenus z Milo, łamali sobie głowę nad tem, czy najpiękniejsza ta rzeźba grecka przedstawiająca boginię piękności, została w rzeczy samej bez rąk znaleziona, lub czy je dopiero później utraciła. Otóż p. Aicard na podstawie skrętnych poszukiwań udowadnia, że wówczas miała lewą rękę do góry podniesioną, w której jabłko trzymała, straciła ją zaś podczas bójki, która nastąpiła między francuzami a Turkami, gdy pierwsi chcieli ją zabrać z terytorjum osmańskiego. Twórca tej wspaniałej statuy przedstawił ją zatem w chwili, gdy Parys wręczył Wenerze jabłko, uznając ją tem za najpiękniejszą z bogiń.

— Souvenirs militaires du colonel de Gonneville. — Paris, Didier, 1875.

Pamiętniki pułkownika Gonneville, wydane przez jego córkę, hrabinę Mirabeau, stanowią ciekawy przyczynek do literatury pamiętnikowej ostatnich lat siedmdziesięciu. W dziele tem nie szukajmy opisu strategicznych operacji, ale obrazu najważniejszych wypadków, których autor był naocznym świadkiem podczas wojen z czasów republiki i cesarstwa. Przedstawienie jest żywe, styl potoczysty; a różnorodność scen opowiedzianych więzi naszą ciekawość. Francja, Hiszpanja, Włochy i Niemcy są ilustrowane w sposób prawdziwie zajmujący, chociaż może nie zawsze wolny od uprzedzeń.

— L'Inde des Rajahas, par Luis Rousselet.— Paris, Hachette, 1875.

Jestto dzieło in 4°, ozdobione 317 ilustracjami w tekście, tak bogate i wspaniałe, że równego mu nie zdarzyło nam się jeszcze widzieć. Pojedyncze ilustracje są tak skończone, że każdą możnaby nazwać małem arcydziełem. Widoki indyjskich okolic zapoznają czytelnika z tą krainą cudów, a wyborny tekst tak dobrze nas poucza, że nie potrzebujemy jechać nawet do Indji, aby poznać tę kolebkę, rodu ludzkiego. Na szczególniejszą uwagę zasługują ilustracje przedstawiające: pałac w Ajemir, mausoleum w Agra, fasadę w pałacu w Gwalior i cytadelę Ourchta. Przy końcu dzieła znajduje się dodanych sześć doskonałych kart geograficznych.

— J. J. Rousseau, sa vie et ses ouvrages. Par M. Saint-Marc Girardin. Paris, Charpantier — 1875.

Dzieło powyż-ze jest pięknym pomnikiem dla wielkiego filozofa. W niem znajdzie czytelnik wierny obraz charakteru Rousseau'a wychowania, kobiet, teatru, wreszcie stosunków genewskiego mędrca z najwybitniejszemi osobistościami ówczesnej epoki. Wielka przedmiotowość, rzadka u Francuza, cechuje tę pracę.

— Assyrian Discoveries, by Georges Smith. London, Sampson Low & Co. 1875.

Badacz starożytności Jerzy Smith, zajmował się gorliwie odgrzebywaniem zabytków Niwy, które przeznaczył dla muzeum Brytańskiego. Rezultaty jego pracy są spisane w dziele niniejszem, ozdobionem wzorowemi ilustracjami. Między wykopaliskami Smitha, są tablice, jest ich 12) z których przekonywamy się, że w Babylonji (stniała już bardzo dawno wiara w piekło i niebo, jak nie mniej w życie po śmierci. Znajdują się także bardzo ciekawe fragmenty o geografji, historji naturalnej, duchach, ustawodarstwie itp. Nazwiska monarchów dość często się spotykają, jak nie mniej szczegóły odnoszące się do potopu. Smith nie uważa swej pracy za skończoną i prawdopodobnie wzbogaci świat naukowy nowemi zabytkami babylońskiemi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Dnia 17. b. m. odegrano w teatrze lwowskim po raz pierwszy 2-aktową komedję, albo, jak ją autor nazwał, 2-aktowy obrazek z życia p. t. „Pro publico bono“ przez Henryka hr. Łączyńskiego. Jest to już drugi utwór tego autora przedstawiany na tutejszej scenie, pierwszym był „Renegat“ — dramat. W głównej postaci niniejszej komedji Kwirynie Nurskim, zamierzył autor przedstawić zgubne skutki przeładowywania się nad siły pracami publicznemi, co Bogiem a prawdą, nie jest u nas jeszcze do tego stopnia rozpowszechnioną wadą, żeby aż trzeba było pisać na nią komedje... Zbyteczne obarczanie się obowiązkami publicznemi, zwłaszcza takiemi, do których żadna pensja nie jest przywiązaną, nie należy, jak wiadomo, do naszych grzechów narodowych i tacy Kwiryni Nurscy nie należą do bardzo rozpowszechnionych i znanych u nas osobistości. Zato żona jego Karolina, uprawiająca obok tych idealnych także niektóre więcej ziemskie uczucia — jest u nas osobistością dobrze znaną — z „Emancypowanych“ Bałuckiego i z „Obcych żywiołów“ Fredry. Innych dowodów na istnienie u nas podobnych kobiet dostarczyć byłoby trudno. Podobnież i p. Amorski zdaje się mieć pewne pokrewieństwo ze Szmucerem z „Obcych żywiołów“ jest nawet sam trocha Szmucerem, tylko na mniejszą skalę, w 2-aktowym formacie, który go zmusza ograniczyć się li na niezgrabnem fałszowaniu weksli i amorach do panny domu. Inne osoby tej komedji należą do rzędu zwykle używanych w teraźniejszych naszych komedjach figurantów i figurantek. Zawiązanie głównej intrygi dowodzi, że tak samo jak do przeprowadzenia procesów cywilnych i wekslowych, tak i do przeprowadzenia komedji potrzeba czasem niezbędnie „pełnomocnictwa“, w prawnej wystawionego formie, zwłaszcza gdy głównie interesowanego niema w domu. Przeprowadzenie zaś intrygi odbywa się głównie za drzwiami i nawet to co się dzieje na scenie, lepiej by było może, gdyby się działo za drzwiami. Zresztą komedja ta nie posiada wiele interesu, ani komicznych sytuacyj, ale za to wiele moralnych zasad i zbawiennych tendencyj.

— Dziś, w niedzielę, odbędzie się walne zgromadzenie członków Stowarzyszenia pracy kobiet, o godzinie 4ej po południu w sali ratuszowej. Pożyteczność i ważność tej instytucji jest nadto widoczną, byśmy potrzebowali zachęcać do licznego współudziału.

— Druga część „Geografji Galicji“ p. Łucjana Tatomira, której część pierwsza wyszła przed kilku miesiącami, została już oddaną do druku, i wkrótce prasę opuści.

— Dowiadujemy się, że monografja napisana przez p. Bronisława Zawadzkiego, redaktora wychodzącego tu pisma „Ruch literacki,“ p. t. „Rej z Nagłowic,“ której krytykę podaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Tygodnia,“ oceniona także niekorzystnie przez pisma warszawskie, a zwłaszcza przez fachowego krytyka „Niwy“ p. Piotra Chmielowskiego, odrzuconą została obecnie przez tutejszy fakultet filozoficzny, któremu p. Zawadzki przedłożył ją jako rozprawę w celu osiągnięcia stopnia doktorskiego. Wyrok ten fakultetu unieważnił zarazem pierwsze rygorozum złożone przed kilką laty przez p. Zawadzkiego.

— Tegoroczna wystawa sztuk pięknych we Lwowie, zostanie otwartą z końcem miesiąca kwietnia r. b. i trwać będzie dwa miesiące. Dyrekcja prosi artystów o przysyłanie dzieł sztuki na wystawę.

— Krakowski konkurs dramatyczny zakończył się ostatecznie d. 21. b. m. W komisji toczyły się obrady nad następującemi sztukami: 1) „Wesele zdobywcy“ — 2) „Dramat bez nazwy“ — 3) „Kupno i sprzedaż“ — 4) „Niewinni“ — 5) „Król Mieczysław II.“ — 6) „Konkurenci“ — 7) „Altea“ — 8) „Kajus Grachus“ — 9) „Pan Procentowicz“ — 10) „Marynia.“ — Przy głosowaniu nad udzieleniem pierwszej nagrody, otrzymał 7 głosów na 10 wotujących dramat wierszem w 5. aktach „Król Mieczysław II.“ którego autorem jest Dr. Adam Bełcikowski. Jemu też została przyznana pierwsza nagroda w wysokości 550 guldenów. Drugą nagrodę, 300 guldenów przydzielono pięcioaktowemu dramatowi pt. „Dramat bez nazwy.“ Po otwarciu koperty, znaleziono w niej następujące słowa: „Ze względów nader łatwych do pojęcia, autor zmuszony jest do zachowania jak najściślejszego incognito.“ Był prócz tego adres, ułatwiający zniesienie się z autorem. Trzecią nagrodę 200 guldenów, otrzymał pięcioaktowy dramat wierszem „Wesele zdobywcy“ którego autorem jest Juljan z Poradowa, (kobieta pisząca pod tym pseudonimem) autor „Obrony Częstochowy.“ Nagrodę czwartą, 100 guldenów, przyznano pięcioaktowej komedji „Kupno i sprzedaż.“ Jej autorem jest Jan Baptysta (pseudonim.) Do grania polecono nareszcie trzyaktowy dramat prozą „Niewinni“, którego autorem jest pan Władysław Okoński.

— Studenci politechniki w Monachium przygotowują przekład obszernego podręcznika do nauka miernictwa, brak którego w polskim języku oddawna czuć się dawał. Tłumacze odstępują przekład bezinteresownie, byle się znalazł nakładca. Porozumieć się można w redakcji „Niwy“ w Warszawie.

— „Vaterland“ donosi, że tegoroczna wystawa austrjackiego „Kunstverein“ w Wiedniu rozpada się na dwa oddziały, z których jednym jest „zbiorowa wystawa“ polskich wyłącznie mistrzów. Matejko oprócz swego „Dzwonu Zygmunta“, przysłał jeszcze na tę wystawę dwa inne obrazy, Brandt trzy obrazy itd. Trzydziestu ośmiu artystów polskich — ogółem wzięło udział w tej wystawie, pomiędzy nimi Kowalski, Kurella, Chełmoński, Malecki, Chmielowski, Kozakiewicz, Streit itd. Nadesłano też kilka obrazów zmarłego Gierymskiego.

— W Hiszpanji robią teraz furorę dwa nowe dramaty Pierwszą „La Virgen de Lerena“ napisał Herranz, drugą „La esposa del Vengador“ inżynier cywilny, Echegaray, który przed kilką miesiącami był ministrem finansów. Szczególnie ta druga sztuka jest pełną dramatycznych efektów.

— Towarzystwo historyczne imienia Jabłonowskich w Lipsku przeznaczyło na r. 1875 zwykłą nagrodę 90 dukatów autorowi gruntownego studjum, któreby wyświetliło stosunek specjalny, w jakim zostają między sobą wśród rodziny indo-europejskiej języki grupy słowiańskiej i litewski do grupy języków germańskich. Zeszłoroczny termin konkursu na temat: „Historja handlu zbożem Polski z zagranicą,“ zostaje przedłużony na rok bieżący.

Gospodarstwo.

— Lucyna Ćwierciakiewicz, autorka 365 obiadów daje w ostatnim Nrze. Bluszczu sprawozdanie „O narodowej szkole gotowania“ założonej w Anglji, dla kształcenia zdolnych kucharek, podnosząc użyteczność tej instytucji, skwapliwość z jaką nietylko mniej zamożne osoby, ale i kobiety wyższego towarzystwa z tych szkół korzystać pragną, wreszcie uznanie z jakiem pisma francuzkie o tej instytucji wspominają, dodaje iż: idąc za dobrym kierunkiem, chce również chętnie poświęcić swe wiadomości, pracę i czas, aby coś podobnego w niedalekiej przyszłości wytworzyć w Warszawie. Szkoła taka zdałaby się także we Lwowie.

— Tegoroczne kontrakty i jarmark kijowski wypadną prawdopodobnie bardzo dobrze. Z Warszawy udało się tam wielu kupców i przemysłowców. Szczególnie bogato będą reprezentowane produkcja krajowa i handel maszyn rolniczych, których potrzeba czuć się daje w najmniejszych nawet majątkach.

Nekrologja.

— Dnia 24. bm. zmarł we Lwowie Franciszek hr. Łoś, żołnierz napoleoński, major wojsk polskich w r. 1831. Była to jedna z najpiękniejszych naszych postaci, mąż szczerze kraj kochający, który do ostatniej chwili nie przestał się gorąco zajmować sprawami publicznemi. Zmarły urodził się był w roku 1795.

ROZMAITOŚCI.

— Zapewne nieraz już czytelnik widział na jarmarkach i u wędrownych sztukmistrzów tresowane kanarki, stojące na warcie, odbywające manewry wojskowe i strzelające z małych armatek; częstokroć ci maleńcy pierzaci wojownicy staczają nawet wielkie bitwy, gdzie jedni strzelają, drudzy padają niby ciężko ranni, a koledzy z pola walki ich unoszą. Takich sztuczek i kuropatwę wyuczyć można. Znane częste są przykłady ułaskawienia i utresowania wężów, ropuch, pająków a nawet krokodylów. Co do żab, przyzwyczajają się one na gwizdnięcie swego pana wychylać głowę z wody w słoju, lub włazić na drabinkę i tak otrzymywać pożywienie. Mniej często słyszeć można o ułaskawionych rybach, choć i to się zdarza. Pułkownik Mac Dowal opowiada naprzykład o ułaskawionym sztokfiszu, którego widział w pobliżu Ardwell w sadzawce w skale wykutej. Sztokfisz ten był tak doskonale przyswojony, że pozwalał się miejscowym strażnikom po grzbiecie drapać. Ale nikomu zapewne nie przyszło na myśl opanować i wykształcić takie zwierzę, jak słynnemu pogromcy zwierząt, Izaakowi von Amburgh. Postanowił on wypróbować swoją sztukę na jednym z najdzikszych mieszkańców morza. Płynął właśnie do Indji wschodnich, mając przy sobie na okręcie, jako towarzysza, znanego i wybornie utresowanego niedźwiedzia swego „Hioba“, który najlżejszemu jego skinieniu był posłuszny. Niedawno właśnie udała się Amburghowi ułaskawić psa morskiego, czem zachęcony postanowił na rekinie władzy swojej spróbować, nie wątpiąc ani chwili, że mu się to uda. I w istocie w kilka dni już potem znalazł sposobność do dowiedzenia, że przynajmniej odwagi i chęci potemu mu nie brakło. Pomiędzy kajutowemi pasażerami okrętu znajdowała się młoda angielka, żona wysokiego urzędnika kompanji wschodnio-indyjskiej, z sześcioletnią córeczką swoją, Fanny. Pewnego dnia po południu wyszło to dziecko na pomost z matką i boną i bawiło się widokiem ryb igrających na powierzchni fal. Nagle przerażający okrzyk wstrząsa powietrze: Fanny wpadła w morze! Młoda matka łamie ręce, obecni skamienieli z trwogi; tylko jeden majtek miał tyle przytomności, że skoczył w ślad za dzieweczką i na czas jeszcze szczęśliwie ją pochwycił. Już dopływał do okrętu z dzieckiem na ręku i wołał o podanie liny, gdy nagle po za nim, wynurza się olbrzymi rekin, stały towarzysz okrętu od dni kilku. Ujrzeć to i z żelazną pałka swoją skoczyć w morze — było dla van Amburgha dziełem jednej chwili. Potwór spostrzegłszy go, zwrócił się natychmiast w jego stronę, z czego korzystając dzielny majtek zdołał za pomocą liny dostać się na okręt i złożyć nienaruszone dziecko w ręce uszczęśliwionej nad wyraz matki. Tymczasem van Amburgh przybliżył się tak do rekina, że mógł go swoją pogromczą pałką dosięgnąć. Ale tu potęga jego na nic się nieprzydała: rekin chwyta zębami za magnetyczny instrument i pociąga za sobą w głąb' swego przeciwnika. Napróżno usiłuje van Amburgh broń swoją wydrzeć z zębów potworu. Puszcza ją nareszcie i wypływa na powierzchnię wody. Ale rekin nie myśli bynajmniej na tem poprzestać, ściga za nim i dopędza, nim pogromca zdołał uchwycić za zbawczą linę, wyrzuconą mu z okrętu. Tylko szybkie zanurzenie się uratowało Amburgha na chwilę. Wypłynąwszy znowu na wierzch woła o harpun (hak zaostrzony przywiązany do liny a używany do połowu wielorybów). Rzucają mu harpun i to właśnie w tej chwili, gdy rekin znajduje się tuż obok niego. Nie namyślając się, van Amburgh ciska harpun i trafia szczęśliwie morskiego rozbójnika w zgięcie między karkiem a głową. Napróżno jednak majtkowie, już krzyczący zwycięzko, całych sił dokładają, ciągnąc za linę, do której harpun był przytwierdzony. Zwierzę wciąż jeszcze się opiera. Wówczas van Amburgh rozkazuje „Hiobowi“ skoczyć do wody. Posłuszny niedźwiedź skacze. Płynie do wściekle bijącego wodę rekina i na nowe skinienie swego pana, potężnemi łapami swemi bierze w uścisk morskie straszydło. Potrzeba jednak było jeszcze kilku strzałów, aby zwycięzko zakończyć tę walkę. Wreszcie zdołano wyciągnąć na okręt olbrzymią rybę a z nią „Hioba“ i van Amburgha, wyleczonego raz na zawsze z chęci przemagania rekinów. Zdarzenie to nie jest marynarską dyktyryjką, ale istotną prawdą, stwierdzoną urzędowym protokołem na podstawie zeznań wiarygodnych, przytomnych temu wypadkowi osób.

— W charakterze ludów romańskich istnieje osobliwy rys lekkomyślności, w tem szczególniej objawiający się, że ludy te w chwilach najgroźniejszych dla ich ojczyzny, gdy idzie o najwyższe skarby ludzkości, zdolne są żywo interesować się drobnostkami, nieraz niegodnemi wyższych i poważnych umysłów. Tak w Hiszpanji, gdzie od wrześniowej rewolucji wszystko w najstraszliwszej anarchji wegetuje, ohydna walka stronnictw niszczy rdzeń siły narodowej i sprawia przewrot we wszelkich stosunkach, w pośród najżywszych zaburzeń i gwałtów wojny domowej budowano nowy „Cyrk do walki byków“, którego amfiteatr 12,400 osób pomieścić w sobie może. Ten tak zwany „Nueva Plaza de Toros“ w Madrycie jest to trzypiętrowy budynek w stylu maurytańskim, prawdziwie wspaniałego rozkładu, zajmuje bowiem przestrzeń 14094 metr. kwadr. Składa się naprzód z areny kolistej mającej $60^1/_2$ metrów w przecięciu, a przeznaczonej do walki byków. Za tą areną, wzdłuż całej jej przestrzeni, po za żelaznemi silnemi barjerami wspartemi na żelaznych słupach, znajduje się małe wzniesienie, 2,15 metra szerokie, a za niem wznoszą się naprzód terasowym kształtem siedzenia niepokryte, a nad niemi w dwa rzędy miejsca pokryte i loże, z których najdroższe, są umieszczone po stronie cienistej. Oprócz tego olbrzymi ten budynek, którego ogólne przecięcie w kierunku areny wynosi 125 metr., obejmuje jeszcze w sobie różnorodne salony, kasy i inne biura administracyjne, składy siodeł, garderoby, lazaret, a w przyległych oficynach obszerne stajnie dla koni i byków, oraz rodzaj klatek, w których rogaci zapaśnicy karm otrzymują w oczach publiczności, zanim na arenie się pojawią. Na tem się nie kończy: w podwórzach mieszczą się jeszcze tak zwane Corrales, czyli ogrodzenia, przeznaczone dla świeżo przypędzonych z równin dzikich byków, dalej szlachtuz, w którym zwyciężone na arenie byki dobijane bywają, szopy dla zabitych koni itd. itd. Tak więc, w chwili, gdy rząd hiszpański wstrzymuje wypłatę procentów od swego długu państwowego, a miasto Madryd wzbrania się wypłacać wygrane losy swojej pożyczki, znalazło się w Madrycie jeszcze dosyć pieniędzy na wystawienie budynku dla nieszlachetnej rozrywki, którego same koszta budowy przeszło miljon talarów hiszpańskich wynoszą!..

— Dość niedawno Francuzi przyswoili sobie jeden wyraz z irlandzkiego p. n. absenteizm, który dał powód do następnego artykułu p. Fryderyka Passego, zamieszczonego w „Dzienniku Ekonomicznym:“ „Absenteizm, jest to niemieszkanie obywateli w swych majątkach. Absenteizm, mówi autor, jest potępiany przez wszystkich ekonomistów, bo jest anormalnem i zbrodniczem oddzieleniem się człowieka od ziemi, narnowanie źródła głównych bogactw narodowych. Gospodarz to co wziął z ziemi oddaje jej w formie mierzwy, ale dobry gospodarz na tem nie poprzestaje i daje ziemi co jej brakuje, tj. ciągłą poprawę, ciągłą pieczę, ciągłą obronę przeciw temu co ją kazi i czyni bezpłodną. Robi ulepszenia, przeprowadza drogi, kopie rowy i kanały, nawadnia łąki, zakłada sady, zasiewa lasy itd. Właściciel wiejski, przeżywający w mieście lub za granicą cały przychód ziemi, postępuje jak ten, który prowadzi gospodarstwo wycieńczające, a wiadomo, że po takiem gospodarstwie idzie w ślad zawsze ubóstwo ziemi i posiadacza. Nieobecny, traci smak do drobnych zatrudnień, do drobnych obowiązków, do obowiązków wiejskich i parafialnych, na których, jak powiada p. Passy, polega patrjotyzm, tj. obowiązek względem społeczeństwa, którego się jest członkiem. Za tem wszystkiem idzie szkodliwa skłonność do pozbycia się roli. Właściciel ma powinności względem ziemi, i ma także powinności względem tych, którzy ją uprawiają, względem biednych i nieoświeconych. Absenteizm bywa zwykle źródłem niezgody między ludem i panem. Wyrobnik widzi w obecnym obywatelu narzędzie pracy i umysłowego postępu, buduje się jego dobrym przykładem, a w nieobecnym widzi rabunek przychodów ziemi, przeżywanych wśród obcych i na ich korzyść. Absenteizm sprowadza ztąd pod względem moralnym wzgardę ludu dla posiadaczy, nieznających częstokroć swoich pól, lasów, wiosek i widoków, rodzi przekonanie o niesprawiedliwej eksploatacji człowieka, wpływa szkodliwie na pojęcia o zasadzie prawa własności, będącego osią i podwaliną społecznego ładu i dobrobytu. Pod względem materjalnym sprowadza bogactwo do miast, a ubóstwo, ciemnotę i zacofanie do wiosek. Francja jest poniekąd tego przykładem.“

— Ledwo Montgolfier w r. 1782 wynalazł żeglugę balonem i na próbę zwierzęta puścił w tym przyrządzie w napowietrzne szlaki, natychmiast znaleźli się przedsiębiorczy ludzie, nie wahający się na podobny hazard własnego życia narażać. Pierwszym z takich był Pilatre de Rosier, któremu kilkakrotnie szczęśliwie wznieść się i spuścić na ziemię udało. Gdy jednakże 15 Lipca 1785 wybrał się przez powietrze z Boulogne do Anglji w drodze śmierć znalazł. Balon jego dosięgnąwszy wysokości 200 sążni, zajął się płomieniem. Pilatre w rozpaczy wyskoczył i rozbił się na miazgę. Ta okropna dola nie odstraszyła bynajmniej innych. Przy końcu przeszłego stulecia, Francuz Bouch, biegły fizyk i utalentowany malarz, wzniósł się balonem z Eskurjalskiego ogrodu w obec hiszpańskiego króla i jego rodziny. Pierwszym on był, w Hiszpanji, co podobne doświadczenie uczynił. Otóż twierdzą, że niektórzy dostojnicy dworu, zazdrośni łask, jakie uczony cudzoziemiec miał u króla, przekupili robotników użytych do napełnienia balonu gazem i skłonili ich, do umieszczenia balastu na opak. Czy tak było, czy inaczej, dosyć że balon wzniósłszy się w górę, z płonącym ogniem pod sobą, wedle starej montgolfierowskiej metody, nagle na wysokości 400 stóp pochylił się w kierunku ogniska i w mgnieniu oka stanął cały w płomieniach. Bouch wyskoczył z powietrznego stosu i upadł na świeżo zorane pole, ale tak szczęśliwie, że w stojącej postawie prawie po kolana wbił się w ziemię, przyczem złamał wprawdzie obie nogi, życie jednak uratował. Wyleczony kosztem i pod osobistym nadzorem króla, wyjechał po kilku miesiącach chromając do Ameryki, gdzie portret prezydenta Jeffersona wykonał. Los i pasja podróżowania powiodły go potem do Indji, Persji i Egiptu, a wreszcie znowu po latach wielu do Madrytu, gdzie przybywszy, zapragnął obejrzeć przyrodniczy gabinet królewski. Kustosz tego muzeum oprowadziwszy go wszędzie, wyjął wreszcie z jednej półki piękne pudełeczko i zapowiedział wielką osobliwość. I cóż to było? Oto kupka ułamków kości, na której napis objaśniał, że kości te wyjęto niegdyś z połamanej w usługach nauki nogi słynnego Bouch'a. Z głębokiem wzruszeniem wpatrzył się męczennik aeronautyki w tę osobliwą relikwję, którą król tak starannie zachować kazał. Poczem wymienił nazwisko swoje i domagał się tych kości, jako prawowitej własności swojej. Napróżno jednak! Zarząd hiszpańskiego muzeum, uważając widocznie tę relikwję za nieocenioną osobliwość, odmówił stanowczo wydania jej w ręce właściciela i odesłał go z jego pretensjami do dnia zmartwychwstania powszechnego!

— Pewien dziennik londyński podaje wykaz cen za jakie w Anglji zostaje się deputowanym do parlamentu. Według tego wykazu pp. Bel i Palmer, zwycięzcy kandydaci do krzeseł deputowanych z północnego okręgu Durham, wydali na swą kandydaturę 17,601 funt. szter.; pokonani w tymże okręgu kandydaci 10,601 funt. szter. W południowym okręgu tegoż hrabstwa zwycięzców kosztował tryumf 11,269 fnnt. szter., pokonani wydali 9,346 funt. szter. Disraeli dostał się do parlnmentu za 1,518 Gladstone za 1,323 funt. szter.

Odpowiedzi Redakcji.

S. P. w Stanisławowie. W tym tygodniu reklamacja pańska jest z kolei ośmnasta. Ponieważ takie gubienie się zeszytów dekompletuje nam całe egzemplarze powieści J. Dzierzkowskiego, przeto postanowiliśmy tomu II nie wysyłać więcej zeszytami ale całemi tomami. Prenumeratorowie będą więc mieli tę dogodność, że otrzymają cały tom razem. Tom II rozeszlemy z końcem marca. W nim będzie zawarta obszerna powieść „Serce kobiece“ która należy do najlepszych w naszej literaturze.

Treść Nr. 8.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego),